№ 32. Warszawa, dnia 28 Lipca (9 Sierpnia) 1890 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 4, półrocznie rs. 2, kwartalnie rs. 1. **Na Prowincyi** rocznie rs. 5, półrocznie rs. 2 kopiejek 50, kwartalnie rs 1 kop. 25 **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 2, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 2 cen. 30. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr 2, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 2 centów 30. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 3, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 3 pf. 50.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

OSTATNIE NOWOŚCI.

WRAŻENIA I NOTATKI.

Czarodziejka, romans przez Kazimierza Glińskiego. Warszawa, 1890 r.

(Dokończenie.)

Ale dajmy pokój drobnym niedokładnościom. Hrabina Anna była cudem urody i wzorem cnót. Spotkawszy młodego Adama Szczerodyńskiego oddała mu swe serce. Ręka wszakże, nie mogła z nim iść w parze, zrujnowany bowiem ojciec jej, stary Starża, sprzedał wolność córki, za milion, który hr. Ornowski długi jego spłacił. Adam, również nie jest wolny; podczas bowiem gdy on przysięgi i pocałunki zamienia z piękną Anną, ojciec despota zaręczył go *per procura*, z Jagusią Hoholanką, córką najbliższego sąsiada. Opis przeszkód tych, jakie ich dzieliły, cały nieledwie tom wypełnia; poczem, dzięki śmierci Ornowskiego i urokowi Czarodziejki, która zwaśnionych starców godzi, młoda para łączy pomyślnie swe losy.

Może się dziwnem wydawać, iż wstęp do powieści, przez autora niezbyt jasną wzmianką zbyty, myśmy rozszerzyli, treść zaś utworu, na kilkuset stronicach rozpowiadaną, krótkiemi tylko zaznaczamy wyrazami.

W stosunku tym jednak, leży, jak sądzę, cała słaba strona „Czarodziejki". Pomijając walkę zaciętą między butnym magnatem a nieugiętym szlachcicem, nie wyzyskawszy faktu, iż chudopachołek odbija bogaczowi narzeczoną, tamten zaś odkrada mu w zamian żonę, druzgocze nogę i dom w perzynę obraca, autor przeszedł obok tematu, który się do „romansu" właśnie doskonale nadawał. Odrzucił burzliwe, płomienne natury, niezwykłe wydarzenia i całe bogactwo minionej już dzisiaj epoki burd i zajazdów. W zamian zaś, dał nam galeryę istną brudnych, nikczemnych, podłych i z pod ciemnej gwiazdy chyba wyciąganych typów. Pióro jego przytem, zanurzywszy się raz w tym steku szkaradzieństw, traci miarę, a zamiast równowagi i prawdy życiowej, daje nam szarżę operetkową. Oto pan Piskała, dawny rządzca hr. Ornowskich i rajfur starej hrabiny w jej pokątnych romansach, nietylko jest podłym sknerą, szalbierzem, oszustem, człowiekiem bez czci i wiary, który za policzki płacić sobie pozwala, nietylko handluje wszystkiem, zacząwszy od urody własnej żony, ale jeszcze stroi go autor w powierzchowność zwyrodniałej, wstrętnej małpy i każe być, obrzydzenie budzącym niechlujem. A jednak, pan Gliński nie posądza chyba czytelników swoich o naiwną wiarę, w czasach której mniemano, iż Opatrzność przybiera cnotę tylko w rysy tylko piękne i szlachetną postawę, złych zaś ludzi, od urodzenia stosowną naznacza powierzchownością.

Idźmy jednak dalej.

W galeryi potworów drugie miejsce zajmuje pani Piskalina. Równie głupia, jak czelna, zepsuta i niemoralna, pociesza się na prawo i na lewo, usiłując równocześnie, aby mąż na czułym stosunku jej z hr. Ornowskim, mężem „Czarodziejki", pieniężnie źle nie wychodził. Nie przeszkadza jej to wszakże, obdarzać jeszcze łaskami, mniemanego siostrzeńca, Świdrusia, z którym nawet ucieka okradłszy Piskałę. Świdruś ów, frant, złodziej, oszust, nieuk, promuje się w końcu, dzięki łasce autora, na zamożnego i szanowanego obywatela. O, biedneż to Podole!

Rzućmy jednak okiem na bliższe otoczenie bohaterów.

Hr. Ornowski, mąż „Czarodziejki", nie mający w gruncie prawa do nazwiska swego ani tytułu, jest nadętym pyszałkiem i szpetnym głupcem zarazem. Bije on ciągle pokłony długiemu szeregowi mniemanych swych antenatów, a w zarozumieniu i dumie bezmiernej, stanowi figurę iście z parawanu zdjętą. Gdy brat jego kona, Ornowski szuka testamentu, by go podrzeć lub sfałszować; wzbogacony, kupuje wbrew woli żonę... Dodawszy do tego karciarstwo, hulactwo i rozpustę, zapytujemy czy i tu pan Gliński nie zawiele zużył sadzy, a zarazem wołamy powtórnie.

Główną zasadę piękna stanowi równowaga... Dlatego też zapewne i bohatera, Adama Szczerodyńskiego w takiem samem autor umieścił otoczeniu. Narzeczona jego, jest tak idyotycznie i niewypowiedzianie ograniczoną, iż w najważniejszych chwilach życia, gdy o los jej cały chodzi, umie tylko dłubać palcem w sucharku, albo... w nosku; szczegół ten p. Gliński z upodobaniem powtarza. Matka jej jest zdenerwowaną histeryczką i waryatką, ojciec szalbierzem, brat skończonym kretynem, otoczenie zaś całe, karykaturą godną bulwarowego wodewilu ze śpiewkami.

Wobec podobnego doboru osób działających, gdzież tu mowić o szlachetnych ideach, o szerszych poglądach, lub poezyi ukraińskich typów i widoków. Rozumiemy to zestawienie barw czarnych w romansach kryminalistycznych, „Czarodziejka" wszakże, nie miała chyba zamiaru wywoływać grozy lub oburzenia. Po zużyciu takiej masy cieniów, autorowi samemu zbrakło tchu do rysowania jaśniejszej strony obrazu. Główne źródło jego światła, Anna Ornowska, czaruje nas tylko urodą. Ukochany jej Adam Szczerodyński, jest pozbawionym woli mazgajem. Dopiero typy dwóch, zwaśnionych niegdyś starców jaśniej wychodzą, wieńczy je zaś, jedyna w książce tej doskonała i oryginalnie odtworzona postać, t. j. ksiądz Atanazy.

Za króciutką sylwetkę jego, należy się szczera wdzięczność autorowi. Typ to znakomicie skreślony. Zdaje się, iż widzimy tego zacnego plebana, który pod czarną sutanną nie przestał być człowiekiem. I jego serce wre i kipi i on płacze krwawemi łzami czysto ludzkiej niedoli. Poczucie jednak obowiązku zwycięża. Kapłan chyli głowę, nie przed literą prawa, lecz przed duchem wyższej idei. Chyli, by potem też samą głowę, niepokalaną z dumą podnieść do góry. Opowiadając o wychowaniu Anny, w której umyśle on jeden szczepił ziarna wiedzy, ksiądz tłomaczy się z wolnomyślnego nieco kierunku, jaki wykształceniu jej nadał.

„Świat jej przedstawiłem jako zagadkę wielką, rzucaną ludziom przez Stwórcę wszechrzeczy, do rozwiązania której powołane są wszystkie umysły; że rozum ludzki nie zna więzów, jeżeli ma być cząstką wolnego Boga. Rozumiałem dobrze, że w ciasnej klatce zmarnieje i zawsze ten ptak swobody, który się myślą ludzką nazywa. *Spiritus flat ubi vult!* powiedział mistrz nad mistrze, Bóg prawdziwy. Nauki i światła! krzyknąłem raz z ambony i pomaszerowałem na półroczną pokutę do kapucynów... Światła i nauki! krzyknąłem raz drugi i peleryna prałata schowała się przedemną na zawsze. Niech się tam na mnie Bóg gniewa, ale ja go inaczej rozumiem od innych."

Ksiądz był młody i jak widzimy, mało praktyczny, natura zaś obdarzyła go gorącym, łatwo zapalnym temperamentem.

Anna z dziewczęcia wyrastała tymczasem na cudownie piękną kobietę, na „Czarodziejkę", której spojrzenie wszystkich brało w niewolę. Stosunek ich codzienny, ciągły, niczyją obecnością nie krępowany, rzucił w końcu ziarno niepokoju do duszy kapłana. Miłość namiętna, czysto ludzka, pożarem zapaliła mu serce, a jednak on, ów wolnomyślny apostoł swobody, najmniejszą oznaką męki swej wewnętrznej nie zdradził. Po nocach wił się w walce z samym sobą, w dzień wszakże, niósł wychowance światło wiedzy tylko, przybrane w powagę nauczyciela i serdeczność ojcowską, której w opuszczeniu swem i sieroctwie tak bardzo potrzebowała.

Ona miała lat dwadzieścia, on trzydzieści kilka zaledwo... Ksiądz Atanazy wszakże nie chciał godności swej, nie już kapłańskiej, lecz człowieczej jednem nawet niewczesnem splamić słowem.

Opowiadanie jego o dziejach miłości tej, jest według mnie najlepszym ustępem w pracy pana Glińskiego. Szkoda, że autor dziejów owych znów nie wyzyskał, lecz przeszedł mimo nich poniekąd, poświęcając czas i pióro epizodom, na zaszczyt ten nie zasługującym. Bądź co bądź, postać księdza Atanazego nie wyidealizowana, czysto ludzka, pełna porywczego gniewu, gdy go kto z drzemki budzi, a jednak taka szlachetna i niepospolita, świadczy najchlubniej o zdolnościach autora. Na niej też i na sylwetkach dwóch starców opierając się, dochodzimy do wniosku, iż autor mógł z „Czarodziejki" doskonałą zrobić powieść. Nie zbrakłoby mu po temu ani sił i tchu, ani polotu fantazyi, zbrakło jednak... czasu zapewne.

Z widocznym kreślona pośpiechem, nie poddana samo krytyce, a ztąd nie jasna często, zarówno w treści jak w formie, została, o ile się domyślamy, dla tych nierówności właśnie, dla tego braku wykończenia, mianem: romansu ochrzczoną. Nazwa nie zmienia jednak wewnętrznej, artystycznej wartości utworu. Co do mnie, zgodziłbym się prędzej uważać „Czarodziejkę" za obszerny szkic do powieści, niż za romans. Ze szkicu tego, mogła przy stosownem opracowaniu wyjść powieść wytworna, jakich, dzięki znanemu swemu talentowi, szanowny autor nie poskąpi nam w przyszłości zapewne. Obecna wszakże, ani literaturze, ani prądom społecznym, żadnej nie przynosi korzyści.

Jakkolwiek bowiem pan Gliński, demokratyczne swe sympatye dość żywo zaznacza, niemniej skarykaturowanie typów, wziętych zarówno z arystokracyi, jak ze sfer szlacheckich, odbiera dowodzeniom jego wszelką siłę przekonywającą. Tylko prawda objektywnie i bezstronnie wypowiedziana, a w szatę piękna strojna, może stać się opowieści całunem, bijącym skutecznie w chiński mur kastowych przesądów.

Anatol Krzyżanowski

SZĘŚCIE POETY.

Szczęście poety, och! dziwna to chwila:
Tysiąc mu dłoni drogę ściele kwiatem,
Tysiące głów się z pokorą uchyla
Przed jego ducha wielkim majestatem.

Wszak on jest władzcą marzenia krainy,
A któż z nas, bracia, w swem życiu nie roi?
Wszak on dla naszych dusz lekarz jedyny,
Wszak on na straży ideałów stoi.

I nie przypuszcza w dziecięcej prostocie,
Żeby to szczęście miało trwać nie długo,
Żeby ten, kogo czczą tłumów tych krocie,
Miał być za chwilę tychże tłumów sługą.

A jednak, szczęście poety człowieka
Trwa tylko chwilę i polega w Bogu,
Bo za areną już go nikt nie czeka,
Nikt go troskliwy nie powita w progu.

Nie wyjdzie żona z uśmiechem dobroci,
I nie zarzuci rąk śnieżnych na szyję,
Nikt mu samotni jego nie ozłoci,
Radością serce nie zadrży niczyje.

Hołdy tych tłumów i uczuć oznaki,
Nie przekraczają konwenansów koła,
Nikt z pośród rzeszy nie zjawi się taki,
By niósł mu duszę i serce anioła...

Wiktor Dzierżanowski.

LEŚNICZY.

OBRAZEK WIEJSKI

PRZEZ

Klemensa Junoszę.

(Dalszy ciąg.)

Po twarzy Kalińskiego przemknął smutny uśmiech.

— Dziwna rzecz — ozwał się — że i ja takie samo porównanie miałem na myśli... zresztą może się mylimy, może pod tą powierzchownością niesympatyczną kryje się najlepszy charakter. Ze względu na ojca pani, pragnąłbym żeby tak było.

Anielcia pokręciła głową.

— Odchodzę już — rzekł Kaliński — niech panią Bóg ma w swojej opiece, panią i cały ten dom.

— Wolałabym żebyś pan bliżej nas był, ale skoro już postanowiono inaczej, żegnam pana, nie tracąc wszakże nadziei, że będzie pan nas często odwiedzał i zawsze o nas pamiętał.

Oficyalista złożył pocałunek na drobnej rączce Anielci i odszedł, dziewczyna udała się do pokoju ojca.

Pan Ludwik był sam, gdyż Winterblum z panem Hieronimem, z powodu ważnego, jak mówili, interesu, wyjechali do miasta.

Niewidomy siedział na fotelu pogrążony w dumaniach, tak że wejścia córki nie słyszał. Zbliżyła się do niego i objęła za szyję.

— Dzień dobry, ojczulku — rzekła.

— Dzień dobry, moje dziecko... bardzo dobrze żeś przyszła, siądź tu przy mnie... Co mi powiesz, Anielciu?

— Jak się ojczulek dziś czuje?

— Jak zwykle, moje dziecko, nawet lepiej niż jak zwykle, bo spokojniejszy jestem... Dzięki dobrym ludziom.

Anielcia westchnęła.

— Czemu wzdychasz? — zapytał — czy masz jakie zmartwienie... Powiedz.

— Ja nie wzdychałam, ojcze.

— Jednak słyszałem wyraźnie. Cóż ci to dolega, moje dziecko, powiedz szczerze.

— Mój ojczulku... czyż mało przyczyn do smutku... dość pomyśléć o twej ciężkiej niedoli.

Pan Ludwik ręką machnął.

— Powiedz mi — rzekł po chwili — dlaczego dziś w domu tak cicho?

— Bo nie ma nikogo. Ciocia jak zwykle gospodarstwem zajęta, pan Kaliński odjechał przed godziną.

— Już odjechał?

— Tak... przyszedł mnie pożegnać... był bardzo smutny.

— Dziwak jest, zacności człowiek, ale dziwak, uprzedza się do ludzi bez żadnego powodu; wszędzie dopatruje złe... ja nie wiedziałem nawet, że taki podejrzliwy jest. Przypuszczam, że stetryczał z powodu starości, bo dawniej taki nie był.

— Przecież pan Kaliński jeszcze nie jest tak bardzo stary, a przynajmniej nie wygląda na takiego.

— Zdaje ci się, Anielciu, to dziad już i może dlatego dwoi mu się w oczach. Wyobraź sobie, że on mnie straszy jakiemiś urojonemi przypuszczeniami.

— Bo on nas kocha, ojcze, on jeden tylko...

— On jeden?!

— Tak, podług mego zdania przynajmniej.

— Ja jego dobrej woli nie kwestyonuję, o jego charakterze najlepsze przekonanie mam, ale powtarzam, że zdziwaczał; bo proszę cię naprzykład, zdaje się, że chyba samo niebo zesłało mi człowieka, który jest towarzyszem wybornym. Nadzwyczaj przyjemny, zawsze w pogodnym humorze, wesoły, dowcipny, mający dużo do powiedzenia, umila mi chwile samotności, skraca czas, który mnie niewidomemu, a więc skazanemu na przymusową bezczynność, tak się zawsze długim wydaje. Nie masz pojęcia, Anielciu, jaką wartość dla mnie ma taki właśnie towarzysz.. On współczuje mojej niedoli, poświęca się dla mnie, traci czas, opuszcza własne, najpilniejsze interesa, i dlaczego? z jakiej racyi? Nie jest mi on przecież brat, ani swat, ani nawet dawny dobry znajomy... a jednak... Ten człowiek, Anielciu kochana, ma serce... złote serce! miałem na to wiele dowodów... on przyszedł mi także z pomocą materyalną, bezinteresownie, bo policzył sobie za to taki tylko procent, jaki ma od listów zastawnych... Znajdźże mi w dzisiejszych czasach człowieka, który to zrobi...

Anielcia słuchała tych pochwał w milczeniu.

— I cóż, moje dziecko — rzekł — nic nie mówisz?

— Słucham co mi ojczulek opowiada.

— I nie przyznajesz mi słuszności?

— Doprawdy — rzekła, rumieniąc się — sama nie wiem co mam mówić... lękam się, żeby ojczulek nie powiedział, że dziwaczeję na starość, jak nasz kochany pan Kaliński.

— Jakto? więc i ty masz jakieś uprzedzenie względem pana Mieczysława?

— W ogóle nie lubię o nikim źle mówić... ale...

— A cóż mogłabyś o nim złego powiedzieć? Może co wiesz? w takim razie nie krępuj się dla mnie, proszę.

— Nic nie wiem.

— A więc?

— To jest człowiek bardzo niesympatyczny...

— Pod jakim względem?

— Nie wiem, mój ojczulku, wytłomaczyć, ani umotywować nawet tego nie potrafię... Osobiście nic mi złego nie zrobił, przeciwnie, jest dla mnie uprzedzająco grzeczny... nieraz aż mnie kłopocze swoją wyszukaną uprzejmością, powiem nawet nadskakiwaniem... o tobie, mój ojczulku, odzywa się zawsze z największą życzliwością, z uwielbieniem, a jednak...

— Cóż? cóż? powiedzże.

— W tem jest fałszywa nuta... w jego słowach podstęp przeczuwam.

— Mylisz się, Anielciu.

— Być może.

— Jesteś pod wpływem uprzedzeń Kalińskiego.

— O co to, to nie! Ja jestem pod wpływem moich własnych przeczuć, mnie głos wewnętrzny ostrzega o niebezpieczeństwie... ja się tego człowieka boję... jabym pragnęła, żeby oddalił się ztąd jak najprędzej. Niech idzie dokąd chce, niech mu się dzieje jak najlepiej, ale niech tu między nami nie będzie... Ojczulku! — zawołała, rzucając się panu Ludwikowi na szyję — mój ojczulku najdroższy, czy wątpisz o mojem przywiązaniu do ciebie?

— O tem, moje dziecko — z pewną surowością w głosie rzekł — mowy nie ma. Uspokój się, jesteś jak widzę podrażniona, postaraj się zebrać myśli, panować nad sobą, pomówmy spokojnie, moja Anielciu... Przed pół rokiem interesa nasze majątkowe były w takim stanie, że obawiałem się o twój los, o twoją przyszłość. Dziś zmieniło się na lepsze. Pilniejsze potrzeby zaspokojone, groźba wywłaszczenia nad nami nie wisi i jest nadzieja, że przy pomocy Bożej i pracy wuja Hieronima, względem którego, mówiąc między nami, byłem niesprawiedliwy, nie zabraknie ci chleba. Słuchaj dalej: przed półrokiem byłem złamany, zgnębiony zupełnie, zniechęcony do życia, dziś przeciwnie, radbym żyć dla ciebie, moja Anielciu, i dla przyszłości. Komuż to zawdzięczam jeśli nie człowiekowi, który w tobie, dla fantazyi, dla powodów wcale nieusprawiedliwionych, dla dziecinnego kaprysu poprostu, budzi takie nieprzychylne uczucia. Niesprawiedliwa jesteś, Anielciu, niesprawiedliwa... powtarzam.

Dziewczyna przycisnęła obie ręce do czoła.

— Ah, ojcze — rzekła — daj Boże, żebym była w błędzie... a co się tyczy przyszłości ja ją sobie wyobrażałam inaczej.

— Jakto inaczej?

— Sądziłam, proszę ojca, że pozostawimy interesa majątkowe własnemu ich biegowi, że opuścimy Magdzin i udamy się do znakomitych lekarzy, po to, ażeby ci, ojcze, świat powrócić.

— Więc ta mrzonka nie opuściła cię aż dotąd?— zapytał z gorzkim uśmiechem.

— Nie mrzonka to, mój ojcze — odrzekła — wypadki podobne do osobliwości nie należą. Ja jestem prawie pewna, że się uda, a doprawdy, aby ci, kochany ojcze, wzrok ocalić, warto choćby cały majątek poświęcić.

Pan Ludwik uśmiechnął się.

— Widzisz — rzekł — to samo codziennie powtarza mi człowiek, którego o jakieś złe zamiary posądzasz.

— On?

— Tak, Anielciu, i musiałem mu dać słowo, że pojadę z nim zagranicę i poddam się operacyi. On będzie mi towarzyszył i zaprowadzi...

— To się nigdy nie stanie! — zawołała z mocą.

— Co? — zapytał zdumiony — dlaczegoby się stać nie miało?

— Ja na to nie pozwolę nigdy! nigdy!...

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

Z PAMIĘTNIKÓW PODRÓŻY

odbytej przez

panią Durand Fardel

do Shanghai i Jeddo.

(Dalszy ciąg.)

Obejrzawszy wszystko z głębokim żalem do rewolucyi, niszczącej po barbarzyńsku tyle pięknych rzeczy, eskortowani wciąż przez żołnierzy idących tak blizko, że mogło to obudzić pewien niepokój, zeszliśmy na dół z zamiarem podziękowania oficerom, gdy oni sami wystąpili z prośbą o zapisanie naszych nazwisk w księdze. Potem pożegnaliśmy się, zamknęły się za nami ze zgrzytem olbrzymie bramy, odbijające dziwnie od małego wzrostu rycerzy, przeznaczonych do ich strzeżenia.

Wsiadłszy do czekających na nas ekwipażów, ruszyliśmy kłusem, zdając się zupełnie na wolę woźniców. Nakoniec, po długim kursie, zatrzymaliśmy się przed wejściem do wielkiej świątyni, otoczonej ogrodami, pagodami o pięciu piętrach, z rzeźbionego drzewa, z kolorowanemi smokami. Budynki otaczające ją były ciekawsze do obejrzenia. Każdy z nich jest świątynią mającą jeden ołtarz i jednego bożka, każdy od innej specyalności i innych klientów, bardzo licznych. Pokłony są takie same we wszystkich tych świątyniach, klękanie, zachwyty i t. p.

W Japonii, podwórza otaczające świątynie są miejscem rozrywki i zebrań, znajdują się tam restauracye i odbywają różne zabawy. Świątynie mniej bogate niż w Chinach, wyglądają jednak weselej.

W powrocie przejeżdżaliśmy przez dzielnicę miasta w której odbywał się doroczny wielki jarmark. Ulice zapchane były sztandarami, szyldami, afiszami teatrów, odbywających przedstawienia pod odkrytem niebem, sklepami o pięknych wystawach, budami w których były węże, dzikie zwierzęta, potwory, figury drewniane, malowane, naturalnej wielkości, poruszane za pomocą doskonałego mechanizmu, jednem słowem to wszystko co stanowi cechę europejskich jarmarków. Takie samo bicie w bębny, takie same krzyki, tylko zamiast dzwonów odgłosy gonga, co jest jeszcze gorsze. Tłum nie do opisania, chcąc mu się lepiej przyjrzeć wysiedliśmy i szliśmy pieszo.

Tu można dostać porcelany z Kiotto; jest to gatunek jeden z najpiękniejszych, lecz nie mogłam kupić talerza taniej niż za dwadzieścia franków. To samo i z lakką jeśli chce się nabyć piękną. We Francyi nikt nie ma pojęcia jaka różnica zachodzi między ich gatunkami.

Jest lakka miedziana i lakka złota, potem różnica warstw na sobie poukładanych, delikatność deseni, wszystko to sprawia, że pudełeczko wielkości dłoni, może mieć cenę 15 franków lub 1,500, choć na pozór prawie niczem nie różni się jeden od drugiego. Dopóki się nie przejdzie studyów nad lakką nie można oznaczyć wartości oglądanych przedmiotów. Miseczki czerwone ze złotem, służące do składania śpilek kosztują od pół franka do trzydziestu franków, a niedoświadczone oko nie odkryje w nich różnicy. Przemysł ten jest tu bardzo rozwinięty i stanowi specyalność krajową, pomimo że wyrabiają lakkę i w Paryżu, lecz nie jest ona podobną do tutejszej.

Japończycy niewięcej od Chińczyków dbają o wygodę, są bardzo porządni, lecz nie posiadają mebli, ani łóżek, ani foteli lub krzeseł. Maty zastępują im to wszystko.

Cały przepych urządzenia zasadza się na fraszkach, bronzach, szyldkretach i porcela-

nowych cackach, a największa ich przyjemność, to przyglądanie się tym pięknościom. Mają piękne ubrania, lecz nigdy bielizny. Materye jedwabne na wacie, stanowią strój bogatych, lud nosi bawełniane tkaniny. Jedyne zaś meble jakie widuję to wielkie kwadratowe skrzynie z lakki, których teraz dużo jest i pięknych bardzo po sklepach na sprzedaż. Są one własnością nieszczęśliwych Daimiosów, zmuszonych dziś pozbywać się ich, ażeby mieć za co opędzić najkonieczniejsze potrzeby życia.

Kupiliśmy dwie bardzo ładne, z herbami Tajkuna i kilka szabel.

Morze tego dnia było spokojne, noc pogodna, nie mogę też zapomnieć zjawiska, które nas do północy trzymało na pokładzie, pomimo ostrego zimna.

Płynęliśmy wśród błyszczących fal, fosforescencya morza była tak silna, że statek przerzynał się jakby przez rozpaloną lawę, wrażenie było potężne.

W Saigonie mówiliśmy: „sztuczne ognie", tu zaś powtarzaliśmy „otchłanie piekielne!" Dziwiło mnie, że nie spotykamy Charona z łodzią pełną cieni. Świetlane zjawisko trwało parę godzin.

Rankiem woda powróciła do błękitnego koloru, słońce świeciło lecz nie ogrzewało dostatecznie powietrza, ażebyśmy mogli dłuższy czas pozostać na pokładzie, pomimo gorącej chęci przyglądania się cudownej panoramie wybrzeża.

Droga od Kobe do Jokohamy jest rzadkiej malowniczości, szczyty ustępują miejsca coraz nowym górom a coraz piękniejszym. Wszyscy podróżnicy chwalą piękności morza Wewnętrznego, lecz nigdy nie zdołają dostatecznie go opisać.

Nie mieliśmy nikogo znajomego w Jokohamie, lecz jakaś znakomita ruska śpiewaczka zapowiedziała tam swój przyjazd razem z towarzyszącą jej trupą.

Rzeczy jej od tygodnia już były złożone w hotelu i mnie spotkał ten zaszczyt, że zostałam wziętą za nią, a nasze przybycie wzbudziło ogólne zaciekawienie, pomyłka ta bardzo nas ubawiła, śpiewaczka zaś przybyła nazajutrz po nas.

Po wylądowaniu, zostaliśmy przyjęci przez kilku naszych ziomków, którzy bardzo uprzejmie przybyli ofiarować swoje usługi na czas naszego pobytu, co przyjęliśmy z wdzięcznością, gdyż tu i w Jeddo mieliśmy zamiar poczynić najważniejsze sprawunki.

Umiarkowane ceny w hotelu natchnęły nas dobrą pod tym względem nadzieją. Hotel jest bardzo wygodny, trzyma go francuz i mam nadzieję, że kilka dni które tu przepędzimy zejdą nam przyjemnie i wygodnie.

Na początek, musimy zająć się wyszukaniem piastunki dla naszej małej Marcelki, bo dawniejsza porzuciła nas w chwili wyjazdu.

Przyprowadzono nam tutaj ośmnastoletnią kobietę, przyjemną, pomimo spłaszczonego nosa, śmieje się ona często jak wszyscy japończycy i wydaje się łagodną.

Na imię jej Nami, mąż porzucił ją wraz z maleńkiem dzieckiem, dlaczego, nie wiemy. Zdaje się, że w Japonii mężowie nie więcej robią ceremonii z porzucaniem żon, jak i w Chinach, a kobiety uważają to za coś zupełnie naturalnego.

Jestże to wynikiem usposobienia czy przyzwyczajenia?

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

HONOR ARTYSTY.

POWIEŚĆ

PRZEZ

Oktawiusza Feuillet.

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

Jak tylko Pierrepont się oddalił, wicehrabina odważnie wypowiedziała Beatryksie, jaki powód sprowadził ją dzisiaj. Nie uczyniła jej najlżejszej wymówki, obwiniała jedynie samą siebie o lekkomyślność i nieoględność; powiedziała, że jest złą doradczynią. Dlatego też oddalając się na kilka miesięcy, chciała naprawić swoją nieostrożność.

— Wiem, że nawet zła myśl nie postała miedzy tobą a margrabią, ale zawsze przyjaźń wasza jest dwuznaczną i niewłaściwą; brak w niej szczerości i swobody. Jeśli dalej tak będzie, narazisz swój spokój i dobrą sławę, a tem samem honor męża. Trzeba więc wprowadzić jakąś zmianę; najlepszą zaś i najskuteczniej zaradzającą złemu, byłoby ożenienie margrabiego.

Beatryksa jakkolwiek głęboko przejęta jej słowami, nie oburzyła się jednak na ten projekt. Być może, że w głębi swej niespokojnej duszy, zaczynała uczuwać bezwiedną trwogę i niedowierzać samej sobie i pragnęła jakimbądź kosztem uchylić się od walki, która z każdym dniem stawała się dla niej bardziej groźną i bolesną.

Upoważniła więc panią d'Aymaret, aby powiedziała margrabiemu, że życzy sobie tego małżeństwa. Prosiła ją tylko jak o największą łaskę, aby jej o tem nie wspominała więcej i że jeśli margrabia musiałby wyjechać, nie chce aby ją uwiadomił o dniu i epoce swego wyjazdu.

— Dotąd kochałam cię tylko — rzekła jej z prostotą pani d'Aymaret, ściskając ją na pożegnanie— lecz teraz uwielbiam cię, najdroższa.

Pozostawiła ją w grabowej alei a sama podążyła do pracowni.

— Mamy jeszcze dobre pół godziny do przyjścia pociągu — rzekła do margrabiego. — Możebyśmy spędzili ten czas na stacyi w Meudon, przechadzając się zwolna po przystani.. sam na sam...

— Uprzedzasz pani najtajniejsze moje marzenia! — zawołał wesoło Pierrepont, wznosząc oczy w niebo.

Pożegnali się z malarzem i za chwilę szli drogą, ciągnącą się od Bellevue do Meudon. Pani d'Aymaret w swojem i Beatryksy imieniu wypowiedziała mu drażliwy projekt. Czoło margrabiego zachmurzyło się nagle. Pomimo nadzwyczajnego zdziwienia, niecierpliwości, jaką wywołały w nim słowa pani d'Aymaret, Pierrepont zbyt był prawym, aby nie zrozumiał, że w obec malarza i jego żony odgrywał rolę, która mogłaby choć niesłusznie przedstawić się wielu osobom w bardzo złem świetle.

Obawa zniesławienia Beatryksy dotknęła go bardzo żywo, a bardziej jeszcze trwoga, jaką go przejęła myśl, że mógłby narazić na śmieszność i poniżenie najlepszego przyjaciela. Znać było, że ma względem malarza uczucie poważania, a nawet szacunku i że z przerażeniem odpycha myśl zdradzenia zaufania uczciwego człowieka i wielkiego zarazem artysty.

— Pojmuję, że powinienem rzadziej bywać w domu Fabrice'a, aby nie obudzać podejrzeń ludzkich— rzekł. — Przyznaję, że małżeństwo byłoby najpewniejszym sposobem zerwania bezpowrotnie z przeszłością... Ale dlaczego mam jechać aż do Ameryki? Dlaczego mam się żenić z miss Nicholson, a nie z inną?

Na ostatnie pytanie pani d'Aymaret odpowiedziała mu wyznaniem o tajemnem uczuciu, jakiem przejęta była względem niego piękna i bogata amerykanka, mniemając i słusznie, że na ten rodzaj pochlebstwa, każdy mężczyzna jest mniej więcej czuły.

— Lecz przyznaj pani — rzekł poddając się wreszcie—że nie mogę jechać dziś wieczór!... Spodziewam się, że mi pani udzieli kilka dni zwłoki?

— Aby nie zbyt długiej, mój kochany panie, ja wyjeżdżam za tydzień i mówiąc otwarcie wolałabym abyś nie pozostał tu długo po moim wyjeździe.

— Zaufanie pani zachwyca mnie niewymownie... Ale niech i tak będzie!... Pojadę następnym parowcem odpływającym z Hawru... Przecież nie mogę puścić się wpław do Ameryki!... Czy pani żąda abym dał słowo?

— Jeżeliś pan łaskaw...

— Daję go więc pani bez wahania.

— Dziękuję... Pamiętaj pan, że masz nie wspominać Beatryksie o dniu twego wyjazdu.

— Nie zapomnę o tem... Ale zdaje mi się, że mogę się z nią przynajmniej pożegnać?

— Ma się rozumieć! — potwierdziła młoda kobieta.

Przybyli na stacyę w chwili, gdy pociąg dochodził do przystani. W wagonie byli sami i nikt do Paryża nie przerwał ich samotności, to też pani d'Aymaret mogła naradzić się z nim nad treścią listu, jaki miała nazajutrz napisać do miss Nicholson, aby jej oznajmić bliską podróż margrabiego de Pierrepont do Ameryki.

Była bardzo zadziwiona i uszczęśliwiona zarazem, z łatwego i szybkiego powodzenia, podwójnej kampanii jaką przedsięwzięła. Słaby opór Beatryksy i Piotra, wobec doniosłości ofiary, którą im narzuciła, dowodził aż nadto, że oboje czuli niewłaściwość i niebezpieczeństwo swego położenia.

Tegoż samego wieczora napisała krótki list do Beatryksy, w którym z wielką ostrożnością donosiła jej o rezultacie swej rozmowy z margrabią de Pierrepont.

Następnych dni, podczas gdy wicehrabina zajęta była przygotowaniami do podróży, margrabia odwiedzał ją kilkokrotnie, pytając ją o szczegóły dotyczące osoby i rodziny tej, którą uważał już za narzeczoną. Naturalnie, że pani d'Aymaret zaspokoiła w zupełności jego ciekawość. Postępowanie margrabiego było nową rękojmią szczerości i niezłomnego postanowienia, o którem zresztą dane słowo nie pozwalało wątpić.

Pani d'Aymaret miała wyjechać z mężem i dziećmi we wtorek, pierwszego Maja. W wigilią udała się do Bellevue, uściskać po raz ostatni Beatryksę, którą pozostawiła smutną, ale z poddaniem i bez łez, znoszącą bolesną konieczność. Od Beatryksy dowiedziała się, że Pierrepont był tegoż dnia rano i że oznajmił malarzowi o swoim projekcie podróży.

Miał wyjechać w kilka dni później, w sobotę, piątego Maja, gdyż tego dnia wypływał parowiec na którym zamówił sobie miejsce. Żegnając się z panią d'Aymaret, obiecał że wyśle do niej telegram, skoro tylko przybędzie do New-Yorku. Gdy już miał wychodzić, młoda kobieta nadstawiła zarumienioną twarzyczkę, mówiąc mu z prostotą:

— Ucałuj swoją siostrę, margrabio.

Nazajutrz wyjechała z Paryża.

Do piątku, który był dniem ostatnim jego pobytu we Francyi, Pierrepont wahał się, nie wiedząc czy ma wracać lub nie do Bellevue. Nareszcie postanowił pojechać tam raz ostatni, gdyż kilka razy zaczynał pisać list pożegnalny do Beatryksy, każdy jednak wydawał mu się zbyt oschły, lub zbyt czuły i wszystkie wrzucił w ogień. Przybywszy do malarza, wszedł przez małe drzwiczki do ogrodu i udał się prosto do pracowni, gdzie zastał Beatryksę siedzącą obok męża i zajętą robotą na kanwie.

— Mój drogi przyjacielu — rzekł — przyszedłem na wszelki wypadek uścisnąć twoją zacną dłoń... bo nie wiem czy się jeszcze z tobą zobaczę przed moją ucieczką do Ameryki.

— Jakto! odjeżdżasz tak prędko? — zapytał Fabrice, przerywając sobie pracę. — Cóż cię nagli?... ah! przepraszam!... domyślam się już... Widzisz że moja żona nie dochowała dobrze tajemnicy...

— O! wszystkie te projekta należą jeszcze do krainy marzeń... Jedna tylko podróż jest bezwarunkowo postanowiona — odpowiedział margrabia, poczem zwrócił rozmowę na pracę malarza, podziwiając kompozycyę i krytykując zlekka niektóre szczegóły. Artysta zbijał, lub potwierdzał jego dowodzenia, ze zwykłą sobie swobodą i prostotą.

Pół godziny upłynęło na tej rozmowie, w której żona malarza bardzo mały brała udział. Pochyliła piękną głowę nad robotą i z zajęciem haftowała dalej kolorowemi jedwabiami na kanwie. Niekiedy wmieszała jakieś słówko do rozmowy, lub zwróciła spojrzenie ciemno szafirowych oczu na t. go, który miał odjeżdżać.

Kiedy Pierrepont po raz ostatni uścisnął rękę Fabrice'a, Beatryksa podniosła się z krzesła.

— Odprowadzę pana — rzekła.

On skłonił się milcząc i oboje wyszli z pracowni. Zwolna wstępowali na wzgórze, gdzie przed wyjściem do małej willi był trawnik i kilka kląbów poprzecinanych ścieżkami. Pomimo wczesnej wiosny, dzień był gorący, a po południu nad Paryżem zawisła burza. Ulewny deszcz przestał już padać, ale po niebie przewijały się jeszcze ciężkie i ciemne chmury. W powietrzu unosił się wilgotny zapach ziemi, ziół, traw, liści i kwiatów.

Pierwsze róże, bzy i akacye odurzały niemal swą gwałtowną wonią. Beatryksa i Pierrepont przechadzali się zwolna czas jakiś po alejach ogródka, nie mówiąc do siebie ani słowa, niekiedy tylko zatrzymywali się, aby spojrzyć roztargnionym wzrokiem na niepewne zarysy gmachów i kościołów Paryża, które zachodzące słońce, przedzierając się z po za chmur, oblewało purpurowemi blaski.

Nagle Beatryksa odezwała się stanowczym głosem:

— Trzeba żebyś pan odjechał, proszę cię o to... Lecz przedtem jeszcze, chcę panu coś ofiarować dla *Niej*...

Kończąc te słowa zwróciła się szybkim krokiem ku domowi. Wyłączne jej mieszkanie, składające się z wielkiego salonu, buduaru i sypialni, znajdowało się na dole; pokoje malarza i Marcelki były na pierwszem piętrze. Beatryksa weszła po kilku stopniach na ganek, obróciła się szepcząc: „Wracam natychmiast!” i zniknęła w głębi salonu. Pierrepont zatrzymał się niepewny chwil kilka i wreszcie poszedł za nią. W pokoju panował półcień, gdyż dla uniknięcia upału, zapuszczano firanki na dzień cały; jednak pomimo zmroku, Pierrepont dostrzegł, że w salonie nie było Beatryksy. W kilka minut później wyszła ze swego pokoju, trzymając w ręku pudełeczko z klejnotami.

— To twoja bransoletka—szepnęła półgłosem—bransoletka, którą przysłałeś mi pan z Londynu jako podarunek ślubny... Ofiarujesz ją pan w mojem imieniu swojej narzeczonej... Chcę, aby moje poświęcenie się, było zupełne i nieograniczone.

Pierrepont wziął pudełko i usiłował zdobyć się na podziękowanie, ale wzruszenie stłumiło mu głos w piersiach. Milcząc złożył dłoń swoją w dłoni, którą do niego wyciągnęła Beatryksa.

— Żegnam cię! — rzekła.

— Żegnam cię!... — powtórzył Pierrepont.

Ale nie dokończył jeszcze tego złowrogiego wyrazu, gdy oboje rzucając się sobie w objęcia, gorącym złączyli się uściskiem. W tej chwili zapomnieli o ziemi i o niebie, zaślepieni burzą namiętności, która w jednej chwili w niwecz obraca honor mężczyzny i uczciwość kobiety.

XIV.

M a t c h

Pierwsze przebudzenie się kobiety uczciwej i dumnej, która nie zdołała przezwyciężyć zakazanego uczucia, jest przebudzeniem okropnem. Często żałuje ona popełnionego błędu, ale wyrzec się go nie może. Na pierw dlatego, że poniżenie jej jest tak wielkie, iż cofnięcie się jest prawie niepodobieństwem, powtóre, że wszystko w takim razie jest stracone, z wyjątkiem miłości. Jest to jedyne dobro jakie pozostaje, nic więc dziwnego, że kobieta przywiązuje się doń z gwałtownością rozpaczy. Ma się rozumiéć, że mówimy tu o kobietach wyjątkowych, a nie o tych, dla których miłość jest zwyczajną rozrywką towarzyską.

Naturalnie, że nie było już mowy ani o odjeździe margrabiego de Pierrepont, ani o jego małżeństwie. Nie wspominali nawet o tem, lecz zastanawiali się jedynie, w jaki sposób wytłomaczyć zmianę projektów osobom interesowanym. Miss Nicholson zbyt oględnie powiadomiona była o podróży margrabiego, aby się warto było zajmować jej rozczarowaniem. Ale jak usprawiedliwić przed panią d'Aymaret niedotrzymanie słowa, bez narażenia się na najgorsze z jej strony podejrzenia? Pierrepont postanowił napisać do niej list, donosząc jej w krótkich słowach, że ważne i nieprzewidziane interesa zmusiły go do odłożenia wyjazdu. Pani d'Aymaret nie uwierzyła w wymówkę, gdyż nie odpowiedziała mu wcale. Nie napisała również i do Beatryksy, która opanowana gwałtowną namiętnością, była prawie obojętna na uczynioną jej wielką, choć milczącą zniewagę. Co do Fabrice'a, ten z łatwością dał sobie wytłomaczyć, że Pierrepont odwleka podróż, do której nigdy nie okazywał zbyt wiele chęci.

Wtedy zaczęło się dla Piotra i Beatryksy życie pełne upojenia i goryczy, szczęścia i wyrzutów sumienia, tajemnych rozkoszy i tajemnych obaw z którego składa się występna miłość. Mogli teraz mówić bez ogródki o przeszłości, powierzać sobie najskrytsze myśli i cierpienia i zacierać ostatnie ślady okropnego nieporozumienia, które ich rozłączyło. Uniesienia miłości mogły zaledwie dorównywać urokowi tych wzajemnych zwierzeń, tych chwil niebiańskich słodyczy i nadziemskich wzruszeń. Rzadko teraz widywali się sam na sam; nie czując się niewinnemi, większą teraz baczność zwracali na swe postępowanie. Pokazuje się jednak, że nie dość byli uważnemi. Fabrice, z natury szlachetny i ufający, a przytem od czasu pobytu w Genêts, przyzwyczajony do zażyłości margrabiego z Beatryksą, nie podejrzywał bynajmniej zdrady, jakiej padał ofiarą. Zbyt przytem był zajęty sztuką, aby zwracać uwagę na każdy ruch, lub spojrzenie otaczających go osób; ale natomiast czuwał nad niemi ktoś, posiadający bystry wzrok i rozwinięty zmysł spostrzegawczy.

Wstręt, jaki Gustaw Calvat powziął ku Beatryksie, przemieniał się zwolna w nienawiść w skutek niechęci i pogardy z jaką nie ukrywała się bynajmniej młoda kobieta. Calvat nie lubił także margrabiego de Pierrepont, który okazywał mu zawsze chłodną obojętność. Chociaż Fabrice ze zwykłą sobie dobrocią, przyjmował go nadal w swoim domu i zasilał pieniędzmi, Calvat widział jednak, że zawadzał, że rzadziej teraz zatrzymywano go na obiad że Beatryksa, która zajmowała się bardzo wykształceniem małej Marcelki, unikała pozostawiać go samego z dziewczynką. W jego przekonaniu zatem, nie było zbyt srogiej zemsty na ukaranie tej, która go powoli wypędzała z domu, jaki prawie za swój własny uważał.

Fabrice, w chęci zaoszczędzenia sobie czasu, prosił go kilka razy, aby mu pomógł w wykończeniu małoznaczących szczegółów w wielkiej pracy, jaką przedsięwziął obecnie. Calvat więc korzystał z okoliczności i zjawiał się częściej w pracowni szwagra, pod pozorem ofiarowania mu swych usług; skoro te okazywały się zbytecznemi, wychodził z cygarem do ogrodu, lub błąkał się koło domu, szukając Marcelki.

Jednego dnia przeszedłszy się po parku z dzieckiem, wszedł śmiało do pracowni i przekonawszy się, że Fabrice jest sam, rzekł:

— Mój drogi, chciałbym z tobą pomówić.

— Mów! — odparł malarz, pracując dalej spokojnie.

— Przykro mi, że cię zmartwię — podjął znowu Calvat — ale byłbym ci bardzo wdzięczny, gdybyś Marcelkę oddał z powrotem do klasztoru w Auteuil. Jest ona córką mojej siostry i mam względem niej pewne obowiązki.

Fabrice zszedł zwolna ze schodków, na które wchodził, aby dosięgnąć górnej części olbrzymiego płótna i spoglądając prosto w oczy Gustawowi Calvat, spytał:

— Co to ma znaczyć?

— To ma znaczyć, że Marcelka jest tu w złej szkole i nadal tak pozostać nie może.

— Mój drogi Gustawie — rzekł Fabrice — Marcelka znajduje się tu pod opieką uczciwej kobiety, nieocenionej matki i najżyczliwszej nauczycielki i tak pozostanie nadal.

— Mój drogi Jakóbie — odpowiedział Calvat — żałuję, że jestem zmuszony otworzyć ci oczy i popsuć ci wyobrażenie, jakie miałeś o swej księżniczce... Ale sam chcesz tego... a więc niech tak będzie... czy wiesz zatem jakie pytanie zadała mi przed chwilą Marcelka?... Pytanie to dotyczyło właśnie tej nieocenionej matki i najżyczliwszej

nauczycielki. Mój wuju, pytało mnie dziecko, czy panie i panowie całują się jeśli nie są krewnemi? Czasami, odpowiedziałem, w wyjątkowych okolicznościach... z powodu jakichś świąt lub uroczystości. Ale dlaczego pytasz mnie o to, dzieweczko? Dlatego, że wczoraj wieczorem po obiedzie, gdy wracałam z pracowni, dokąd chodziłam, aby powiedzieć ojcu dobranoc, widziałam wchodząc do salonu, że pan de Pierrepont całował mamę...

Jeszcze nie dokończył tych słów, gdy Fabrice chwytając go za gardło, wstrząsnął nim tak silnie, że Calvat o mało nie stracił równowagi.

— Nędzniku! — zawołał — jesteś pijany! Idź precz!... Uchodź natychmiast z mego domu!

Mówiąc to, popychał go ku drzwiom, prowadzącym z zewnątrz do pracowni.

— Biedny, oszukany człowiecze! Biedna ofiaro własnego zaślepienia! — szeptał szyderczo Calvat.

— Prosiłem cię, abyś wyszedł! — rzekł Fabrice, posuwając się do niego.

Calvat groźnie potrząsnął głową, lecz cofnął się oględnie, a Fabrice szedł za nim i ścigał go wzrokiem, dopóki nie przeszedł za kraty okalające ogród.

Wróciwszy do pracowni, malarz usiłował machinalnie pracować dalej, lecz pozostał nieruchomy, z okiem utkwionem w przestrzeń, z podniesionym pędzlem i bezwładną dłonią. Wreszcie ruchem pełnym zniechęcenia odrzucił paletę i pędzle, usiadł na brzegu stołu i puścił wolny bieg myślom.

— Calvat był bez zaprzeczenia nędznikiem, duszą poniżoną przez lenistwo i rozwiązłość; taki charakter dąży zwykle do zadowolenia uczuć zazdrości i zemsty... Gustaw nienawidził Beatryksę... prześladował ją zawsze tajemną nieżyczliwością, a teraz uciekał się do jawnej potwarzy... Było to proste i logiczne następstwo faktów...

W ten sposób Fabrice starał się uśpić budzący się w jego duszy niepokój, chociaż z drugiej strony mówił sobie, że żona, którą kochał tak namiętnie jak pierwszego dnia po ślubie, postępowała z nim zawsze z chłodną obojętnością; dla niego była zawsze pięknym tylko posągiem, z którego nie potrafił wykrzesać iskierki gorętszego uczucia... Być może, że chłód ten był zwykłym wynikiem jej usposobia... Ileż jednak razy przychodziły mu na myśl złośliwe uwagi pani de Montauron, napawając goryczą zbolałe jego serce!... Ileż razy zdawało mu się, że spostrzega w Beatryksie uczucie pogardy i żalu, wypływające z niewłaściwie zawartego małżeńskiego związku, uczucie, którego tak się lękał!... Myśl, że Beatryksa go nie kocha, była dla niego wieczną męką, zapomnienia której szukał jedynie w nadmiarze pracy... Ale jednak czy kochała mniej lub więcej męża, była zawsze tą samą Beatryksą, tą dumną i czystą istotą, która znosiła z taką szlachetnością przeciwności losu... Jeżeli go nie kochała, posiadała poczucie obowiązku i honoru... Przyjaźń jej i życzliwość dla margrabiego, nie miała w sobie nic ukrytego, ani fałszywego... było to zupełnie naturalną rzeczą, że lubiła człowieka równego jej stanowiskiem i wykształceniem, z którym łączyły ją jednakowe pojęcia i wspomnienia rodzinne. Pierrepont był także człowiekiem nieposzlakowanej uczciwości... Jakżeby można podejrzywać ich oboje o wstrętne oszukaństwo i poniżającą zdradę i to na posądzenie istoty takiej jak Calvat... Nie, niepodobna uwierzyć w zarzut, który tyle był wart, co list bezimienny.

Fabrice był przekonany, że Marcelka nigdy nie powiedziałaby słów, jakie Calvat jej przypisywał; niegodziwiec dobrze wyrozumował, że ojciec nie będzie w tym przedmiocie badać córki.

Gdy Fabrice zastanawiał się nad temi okrutnemi przypuszczeniami, ciężka, starożytna makata, osłaniająca wejście do pracowni, uchyliła się zlekka i we drzwiach ukazała się świeża i śliczna twarzyczka Marcelki.

— Czy ci przeszkadzam, ojcze? — spytała.

Malarz pobladł.

— Nie — rzekł.

— Czy mogę wejść?

— Ma się rozumieć.

Weszła z kółkiem w ręku i podała mu czoło do pocałowania.

— Smutny jesteś? — spytało dziecię.

— Dlaczegóż miałbym być smutny?

— Nie pracujesz?

— Odpoczywam trochę... Widzę, że biegałaś, kochanko? Jesteś taka czerwona...

— Miałam w tej chwili lekcyą muzyki z mamą.

— Czy matka zawsze jest dobra dla ciebie?

— Bardzo dobra.

— I kochasz ją zawsze tak samo?

— Zawsze... ale ciebie ojczulku jeszcze lepiej!... Teraz idę się bawić... będę biegać w cieniu drzew, nie w słońcu... bądź spokojny!

Kończąc te słowa zawróciła się ku drzwiom. Ojciec przywołał ją do siebie.

— Ah! chciałem ci powiedzieć, moje dziecię... Chodź tutaj!

Ujął jej głowę w obie dłonie i patrząc jej prosto w oczy, dodał:

— Chciałem cię prosić, kochanko... o jedną rzecz...

— O co, ojczulku?

Fabrice zawahał się chwileczkę, potem zmuszając się do uśmiechu, dodał pospiesznie:

— Chciałem cię uścisnąć raz jeszcze, pieszczotko... A teraz idź dziecko... idź się bawić...

Dziewczynka nie dała sobie tego dwa razy powtarzać i wybiegła z pracowni.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z TEKI DZIENNIKARSKIEJ.

---

* **Anglicy o nas.** Miesięcznik edymburgski „Blackwood's Magazine", rozpoczął świeżo powieść p. t. „Tajemne posłannictwo", osnutą na tle bliżej nas obchodzącem. Akcya rozpoczyna się w Starej Woli nad Wisłą, pierwsze zaś rozdziały odtwarzają dzieje rodziny Starowolskich i wielkanocne obrzędy w Polsce. Autor doskonale widocznie z okolicami temi obeznany, używa polskich określeń i wyrazów, a nie zmieniając właściwej ich pisowni, najdokładniej równocześnie święcone nasze opisuje. Prócz tak drobnych usterek, jak główka cielęca pieczona, z cytryną w zębach, której coprawda nigdyśmy na stole wielkanocnym nie widzieli, reszta jest ściśle z prawdą zgodna. Nawet chłopskie święcone przynoszone do kościoła, gdzie je kapłan błogosławi, wiernie wystudyowanem zostało.

Wogóle „Tajemne posłannictwo", będzie zdaje się należeć do rzadkich powieści zagranicznych, w których nie zawiść i zła wola, lecz życzliwość przebija dla nas.

Według uwag redakcyi „Blackwood's Magazine", ma się ona rozwijać na tle współczesnych wypadków politycznych i wciągać do akcyi osobistości, ogólnie w Europie znane. Z dalszym przebiegiem ciekawego tego utworu, nie omieszkamy później czytelników naszych zapoznać.

D.

* **Malarstwo.** W pośród nielicznie odtwarzanych u nas krajobrazów, okolice nadmorskie białe nieledwie stanowią obecnie kruki. Z całą też przyjemnością zatrzymujemy się w Towarzystwie Zachęty przed „Widokiem morskim z pod Odessy", odtworzonym przez Henryka Piątkowskiego.

Mały to i nie imponujący rozmiarami ani siłą obrazek; niemniej posiada wdzięk jakiś smutny i właściwe twórcy swemu zalety kolorytu i perspektywy. Ponury odcień nieba, oraz fale lekko wzburzone, licują doskonale z wyniosłemi skałami, u stóp których artysta, jakby dla dania miary ich wielkości, umieścił kilka tak maleńkich jak palec, postaci ludzkich.

Patrząc na ten skrawek żywej i żyjącej natury, żałujemy tylko, że nam autor poskąpił szerszego ciemnych wód widnokręgu, że nie pozwolił ocenić lepiej siły swej, w drobnych tych nawet ramach tak obiecująco uwydatnionej.

D.

* **Z nauki.** Hypnotyzmem coraz się więcej zajmują poważni badacze a nawet towarzystwa naukowe, wyłącznie w tym celu zawiązane. W wiedeńskiem czasopiśmie lekarskiem, doktor L. Hirt opowiada ze swej praktyki zdarzenie następujące:

Eberhard Kl. mający lat 12, syn doktora Kl. z Wrocławia, w Październiku roku 1889, cierpiał na nader męczący kaszel, który stawał się coraz nieznośniejszym i dla niego samego i dla rodziny.

Badania lekarskie nie doprowadziły do żadnego rezultatu, krtań i gardło znajdowały się w stanie narmalnym. Używano rozmaitych środków terapeutycznych, jak i wewnętrznych, elektryczności, próbowano kuracyi wodnej i t. d., chłopiec kaszlał mimo to tak mocno, że wydalono go ze szkoły. W końcu ojciec postanowił spróbować jeszcze kuracyi klimatycznej. Przed odjazdem do krajów cieplejszych, wstąpił do mnie. Wśród rozmowy potrąciliśmy o hypnotyzm. Ojciec postanowił spróbować jeszcze leczenia tym sposobem. Nazajutrz przyprowadził nieszczęśliwego chłopca do mnie. Pogrążyłem go prędko w półsen, tak, że chłopiec mógł widzieć co się około niego działo i odpowiadać na pytania. Wmawiałem w niego za pomocą sugestyi, że krtań jego była do tego dnia chorą, lecz teraz jest zdrową, że nie będzie odtąd kaszlał, a będzie dobrze spał. Powtórzyłem to kilkakrotnie głośno i pociągałem przytem ręką po gardle.

— Nie możesz już kaszlać, nie jesteś w stanie kaszlać, a skoro położysz się do łóżka natychmiast uśniesz i przez całą noc ani razu się nie obudzisz... rozumiesz?

— Rozumiem — odpowiedział chłopiec.

— Teraz jesteś zdrów zupełnie. Powtórz za mną: Wiem, że jestem zdrów zupełnie.

Chłopiec powtórzył te wyrazy. Po chwili obudziłem go. Nazajutrz przybył do mnie ojciec z oświadczeniem, że chłopiec przespał noc zupełnie spokojnie i obecnie po przebudzeniu się ani razu nie zakaszlał.

Czy choroba ostatecznie zniszczoną została, niewiadomo, zawsze jednak i chwilowe jej uśmierzenie godne wielkiej uwagi.

* **Z działalności kobiecej.** Brak dobrej służby jest powodem utyskiwań wszystkich prawie gospodyń naszych. Prawda, że nie brakło i u nas ludzi dobrej woli, którzy myśleli o zaradzeniu złemu, ale wszelkie usiłowania skutkiem rozmaitych przeszkód, spełzły na niczem. A jednak szkoła służących w Wiedniu, istniejąca już blizko od lat dziewięciu, wyborne daje rezultaty i rozwija się nader pomyślnie, ciesząc się uznaniem publiczności. Panie należące do stowarzyszenia płacą dwa guldeny rocznie, a pieniądze te służą jako pożyczki lub wsparcia dla służących, które ukończyły szkołę. Szkoła ma dwa oddziały, w jednym uczą usługiwać przy stole i w restauracyach, w drugim gotować, prać, prasować, szyć, cerować, nawet fryzyerstwa, haftu i robót na drutach, a wszystko to za bardzo skromną opłatą. Przy mieszkaniu stowarzyszenia znajduje się bezpłatne biuro stręczeń.

Nauka trwa trzy lub cztery miesiące, poczem służąca otrzymuje świadectwo ukończenia nauk i przytułek przez czas poszukiwania służby, którą zwykle prędko znajduje.

* **Nowe wynalazki.** Z żywiołów najwcześniej zaprzężonych do pracy na korzyść człowieka, była z pewnością woda. Następnie spożytkowano wicher co wieje i łamie jak patyczki wiekowe sosny i dęby; później znacznie zabrano się do gazów, pary i do ścieśnionego powietrza, a dziś postanowiono wiatr jak konia zaprządz do ciągnienia ciężarów wodą lub lądem na zasadzie zwykłych latawców, ulubionych zabawek dzieci, ale nie z papieru uklejonych tylko z desek się składających, według pomysłu Dawida Thayera z Bostonu.

Gdy wiatr dmie silny, latawiec ten wypuszczony w górę, ciągnie za sobą ze znaczną szybkością po lądzie wozy i wózki, a zaś po wodzie czółna i tratwy.

Amerykanie w niektórych miejscowościach już używają wynalazku swego rodaka do rozwożenia ludzi i towarów po jeziorach mniej burzliwych.

WIADOMOŚCI Z ROŻNYCH STRON.

* Przy kieliszku i po niejednym już zapewne wypitym, pewne gronko młodzieży żyjącej wesoło, powzięło zamiar ogłoszenia konkursu pięknych kobiet, z wyznaczeniem trzech nagród dla najpiękniejszych. Należyć mają do niego same tylko warszawianki od lat 16 skończonych do 35, ze sfer towarzyskich uznanych, niewyłączając i klas pracujących.

Rozważywszy to wszystko, na pewno przypuścić można, że cały ten projekt rozwieje się jak mgła jesienna pod błyskiem promieni... zdrowego rozsądku. Bądź co bądź. zawsze to dowód, że nie brak i u nas ludzi, zajmujących się z zapałem gonitwami koni, strzelaniem do gołębi, ściganiem się na welocypedach i wreszcie konkursami wygwizdanemi wszędzie.

* **Donoszą z Krakowa**, że utworzył się tam komitet obchodu 500-letniej rocznicy urodzin św. Jana Kantego. Odbył on już pierwsze posiedzenia, na którem uchwalono, że chociaż data urodzenia św. Jana Kantego w dniu 24 Czerwca 1390 roku, nie przez wszystkich badaczów została przyjętą, można jednak z zupełną pewnością urodzenie to odnieść do rzeczonego roku, więc 500-ną rocznicę należy obchodzić w roku bieżącym. Obchodzoną też ona będzie razem z doroczną uroczystością świętego patrona, przypadającą w jesieni w kościele św. Anny, według programu, który zostanie wkrótce ułożony.

* **Uroczystości w Ischl** z powodu zaślubin córki cesarza austryackiego, Maryi Waleryi z arcyksięciem Salwatorem Franciszkiem, odbywały się z wielkiem współudziałem publiczności. Wszystkie domy w tej miejscowości były wspaniale przystrojone, a wieczorem uiluminowane. Ognie paliły się także i na okalających Ischl górach. Cała rodzina cesarska Habsburgów i spokrewniona z nią Wittelsbachów bawarskich, tudzież ks. Adolf Nassauski, przybyła do Ischl dwoma pociągami dworskiemi. Po południu cesarz, cesarzowa i narzeczona, żegnali dotychczasową służbę arcyksiężniczki, tudzież dwór jej. Wszyscy otrzymali dary pamiątkowe.

Wieczorem w teatrze odbyło się przedstawienie galowe. Rozpoczęto je wygłoszeniem prologu, napisanego przez Zygmunta Schlesingera. Wypowiedziała go córka autora, Marya. Nastąpił żywy obraz, przedstawiający cesarzową Maryę Teresę, w otoczeniu małżonka swego i syna (Józefa II).

Po przedstawieniu, goście weselni odbyli przejażdżkę w powozach, oglądając wspaniałą iluminacyą Ischlu.

Właściwe uroczystości weselne rozpoczęły się rano o godzinie 8, kiedy cały orszak weselny wysłuchał cichej mszy św. w kaplicy willi cesarskiej. Narzeczeni spowiadali się i przyjęli komunię św., poczem około godziny 10, wśród szpaleru, utworzonego przez mieszkańców Ischlu i okolicy, odświętnie ubranych, orszak ślubny udał się do kościoła parafialnego, przystrojonego w zieleń i kwiaty. U progu świątyni pierwszy stanął narzeczony w mundurze pułku dragonów, w otoczeniu sześciu druchen, ubranych w suknie białe i różowe. Po nim weszła do kościoła narzeczona, w otoczeniu również sześciu drużbów. Następnie przybyli: cesarz i cesarzowa, rodzice pana młodego i cała rodzina cesarska, tudzież świta.

W kościele dziewczątka tworzyły szpaler i sypały kwiaty pod stopy narzeczonych. Orszak ślubny zatrzymał się u stóp wielkiego ołtarza, gdzie czekał już ks. Doppelbauer, biskup z Lincu, w otoczeniu licznego duchowieństwa, który nowożeńców pobłogosławił. Po odśpiewaniu Te Deum, państwo młodzi zamienili pocałunki z cesarzem, cesarzową i rodzicami pana młodego.

Po akcie ślubnym cały orszak weselny pojechał do Kursaalu, gdzie zastawiono śniadanie dla rodziny cesarskiej, ks. biskupa Doppelbauera i hr. Taaffego.

Dla świty podano śniadanie w godzinę później w hotelu Elżbiety.

Zaraz po śniadaniu państwo młodzi pociągiem dworskim pojechali do zamku Radmer, w Styryi, zkąd po kilkudniowym pobycie udali się do zamku Lichtenegg w Austryi wyższej, gdzie stale zamieszkają.

* **Wzruszająca scena** zdarzyła się na targu tygodniowym w Török Besse, na Węgrzech. Do grupy włościan zbliżyła się tam gromadka cyganów, prowadzących pięcioletnią dziewczynkę zupełnie oczu pozbawioną. Cyganie prosili o jałmużnę dla biednej niewidomej, ale każdy z włościan odtrącał ich z pogardą. Nad nieszczęśliwą ulitowała się tylko jedna włościanka. Zaledwie jednak przemówiła do niej słów kilka, kiedy dziewczyna zawoławszy: „Matko, matko!" wyrwała się z rąk cyganki i rzuciła do jej nóg. Włościanka cofnęła się przerażona. Na twarzy jej malowały się przestrach i rozpacz. Przed rokiem zginęła jej córka; po daremnych poszukiwaniach śmierć jej już oddawna opłakiwała, ale młode cyganiątko rysami swemi nie przypominało wcale straconej. Spojrzała na nieszczęśliwe dziecko i teraz dopiero spostrzegła na piersi jego dobrze jej znaną bliznę. Nie było już wątpliwości, że stała przed nią własna córka. W tej chwili cyganie rozpierzchli się po mieście i to właśnie naprowadziło na domysł wszystkich, że to oni dziecko porwali i oczy mu wyłupili, aby tem łatwiej módz litość wzbudzać i żebrać. Włościanie rzucili się w pogoń za cyganami i byliby ich rozszarpali. Zbrodniarzy ocaliło jednakże nadejście żandarmów, którzy odprowadzili ich do więzienia.

* **Nowy prorok** wystąpił w wolnej Szwajcaryi, w której się kręcą rozmaici waryaci podobnie jak w Anglii i Ameryce. Nazywa się Michał Baxter, stanowisko zajął na moście nad Renem w Bazylei i rozdaje przechodniom broszurę, w której koniec świata przepowiada na d. 5 ty Marca 1896 roku o godzinie 3 po południu.

TROCHĘ ŻARTU.

— Widzicie tego pod oknem? Człowiek to niezmiernie zdolny i szanowany powszechnie. Żyje nad stan... z łapówek i to od lat dziesięciu, a jednak ani razu dowieść mu nie zdołano, że wziątkami się tuczy.

* * *

Sposób na sposób.

W Londynie równie piękna, jak dobroczynna księżna C., urządziła niedawno bazar na korzyść szpitala dla dzieci i sama zajęła jeden namiot.

W kilka godziu po otwarciu bazaru zjawia się tam lord P., znany zarówno z bogactwa, jak skąpstwa i witając uprzejmie księżnę, pozostaje przez dłuższy czas przed jej namiotem, oglądając szczegółowo wszystko, bez wyrażenia jednak zamiaru kupienia czegokolwiek.

Znudzona księżna chcąc go ośmielić, pyta z najbardziej uprzejmym uśmiechem:

— Może jaki ładny notatnik?
— Dziękuję, nie potrzebuję.
— Może ołóweczek?
— Dziękuję, nie pisuję.
— To może cygarniczkę?
— Dziękuję, nie palę.

Księżna spogląda zdumiona na lorda, lecz po chwili odzywa się znów z czarującym uśmiechem:

— Ofiarowałabym panu z całego serca ten oto kawałek mydła, lecz obawiam się odpowiedzi: „Dziękuję, nie myję się".

Szalony wybuch śmiechu rozległ się po sali. Lord znikł, a księżna w godzinę później siedziała już za pustym stołem.

* * *

— Ostatnie poezye pańskie, które czytałam, zachwyciły mnie.

— Jakże pani wdzięczny jestem za tak wielką pochwałę, tak drobniutkiemi i małemi ustami wypowiedzianą.

* **Ze starego rozumu.**

Życie to podróż przez ocean ludzkich namiętności, dlatego też tyle ludzi tonie, zanim dopłynie do jakiej przystani.

GOSPODARSTWO DOMOWE.

* **Konfitury z czarnych wisien.** Z czarnych wisien można mieć odrazu sok i konfitury, robiąc naturalnie drugie tyle syropu. Na sześć funtów owoców wziąć pięć funtów cukru; z dwóch funtów zrobić syrop lżejszy, z trzech gęstszy. Gdy wiśnie są już wydrążone, zalać je lekkim wrzącym syropem i zostawić tak przez kilka godzin. Potem odlać ten syrop i przegotować dopóty, dopóki się do czysta nie wyszumuje. Wtedy sok jest już gotów i po wystudzeniu zlewa się go w butelki. Pozostałe wiśnie nalewa się powtórnie wrzącym syropem z 3-ch funtów cukru i pozostawia do drugiego dnia, tylko nie w rondlu, najlepiej w wazie lub salaterce. Na drugi dzień odlewa się syrop, zagotowywa i w wrzący wrzuca się wiśnie, smażąc pół godziny. Tym sposobem z jednej ilości owocu otrzymujemy sok i konfitury.

LOGOGRYF.

Wyrazów 15. Litery początkowe składają tytuł powiastki, a końcowe imię i nazwisko autora tej powiastki.

Sylaby: in-by-ca-czew-gry-lan-borsk-ślub-ne-dyk-wi-wie-der-ha-me-bar-ca-ska-o-ind-zos-od-no-le-war-bar-ksan-yen-go łusz-ryk-do-a-se-trys-e-cf-wer.

Znaczenie wyrazów.

1. Samogłoska i spółgłoska.
2. Dawniejsze królestwo w państwie niemieckiem.
3. Największe jezioro w Król. Pols.
4. Pierwiastek chemiczny, metaliczny.
5. Nieliczne ale waleczne pokolenie germańskie.
6. Imię męzkie.
7. Znana gra w Polsce, oddawna lubiana
8. Imią męzkie.
9. Grecka nazwa egipskiego zdobywcy Ramzesa II.
10. Najbardziej na północ posunięta osada w gubernii Tobolskiej.
11. Znakomita współczesna improwizatorka i poetka polska.
12. Choroba drzew iglastych,
13. Obietnica uczyniona Bogu.
14. Miasto w Gujanie, w kolonii francuzkiej.
15. Ptak grzebiący domowy.

Stanisława Nestorowicz.

ROZWIĄZANIE LOGOGRYFU
zamieszczonego w numerze 30-m „Tygodnika Mód".

1. Psytometrya. 2. Ud. 3. Seidlitz. 4. Zawadzki. 5. Cettinie. 6. Zend. 7. Idomeneusz. 8. Żółkowski. 9 Uc. 10. Bizmut. 11. Rathenow. 12. Ohio. 13. Wasąg. 14. Terapenci. 15. Oggione. 16. Kubrud. 17. Regaty. 18. Amsterdam. 19. Iłowski. 20. Nelson. 21. Alfa.

Puszcz i żubrów to kraina,
A dziedzictwo Giedymina.

Dobre rozwiązanie logogryfu i rebusa nadesłali panowie i panie: E. Poszepczyńska z Kalisza, Stanisław Korpeta i Kazimiera Karsnicka z Poddębic, Michalina Puchalska w Siedlcach, Marya Walentyna Kulczyńska.

☞ Do dzisiejszego N-ru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Dostać można we wszystkich składach i magazynach.

Skład w Warszawie Gęsia Nr 16/18.

NAJLEPSZE i NAJTAŃSZE

NEWSKIE NICI DO SZYCIA

CZARNE, BIAŁE I KOLOROWE

i BAWEŁNA SZYDEŁKOWA (Crochét)

we wszystkich kolorach

NEWSKIEJ FABRYKI NICI

w St.-PETERSBURGU.

Skład w Łodzi Piotrkowska Nr 102.

Produkcya dzienna pół miliona szpulek.

113—12—13

SKŁAD FABRYCZNY KRAWATÓW

I MAGAZYN BIELIZNY

K. WASIŁOWSKIEJ,

w Warszawie, 8-to Krzyżka Nr 10.

Poleca bieliznę męzką i damską oraz wielki wybór

KRAWATÓW

najświeższych fasonów, po cenach umiarkowanych.

133—1—7

PAROWA FABRYKA

OCTU ZBOŻOWEGO

Warszawa, Przyokopowa Nr 36 (róg Nowomiejskiej) *Telefonu 505.*

Poleca octy swego wyrobu różnych gatunków siły. Octy odznaczają się tą zaletą, że wyrabiane z ziarna zbożowego, są bezwarunkowo pozbawione wszelkich zdrowiu szkodliwych substancyi.

Octy te kwalifikują się specyalnie do konserw, marynat i t. p.

Sprzedaż w fabryce i wszystkich składach kolonialnych.

Octy beczkowe w 7 gatunkach.

Octy butelkowe w 10 gatunkach.

9—9—14

Bracka № 20. !!!Po rs. 50!!! Piękne Serwisy Stołowe.

Na 12 osób z najlepszej porcelany Krajowej, zdobne w piękne kwiaty ręcznie malowane, na żądanie z monogramami lub z herbami, składające się z następujących przedmiotów: 36 talerzy płaskich, 12 głębokich, 12 deserowych, 12 kompotowych, 12 par filiżanek do herbaty, 12 par do kawy czarnej, 1 waza, 4 półmiski owalne, 12 okrągłe, 1 do śledzi, 4 salaterki, 2 sosierki, 1 kabaret do konfitur lub kosz do owoców, 2 musztardniczki, 2 solniczki, 1 maselniczka lub imbryk. Razem 116 sztuk. Serwisy fajansowe w dobrym gatunku, w prześliczne desenie lub w kwiaty malowane, składające się ze 114 sztuk po rs. 32; za dopłatą rs. 10 do serwisów tych dodaje się 86 sztuk szkła kryształowego. Serwisy do śniadania z 30 sztuk złożone, w kwiaty malowane po rs. 15. Serwisy do kawy lub herbaty na 12 osób z 16 sztuk po rs. 6. Garnitury na umywalnie kolorowane od rs. 3 kop 60. Wazony do kwiatów doniczkowych (Cachepôt), b. ładne po rs. 3 za parę Wazony do bukietów w wielkim wyborze, para od kop. 50 Garnitury na tualetę. Serwisy do likieru. Kosze do ciast, oraz wszelką porcelanę malowaną, po cenach najniższych sprzedaje

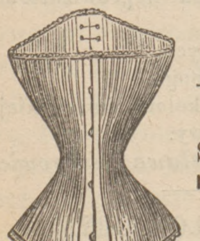
118—7—10

Główny Skład i Malarnia Porcelany RYSZARDA FIJAŁKOWSKIEGO,

w Warszawie, ul. Bracka Nr 20, drugi dom za Chmielną, w lokalu prywatnym. Skład przeniesiony z Krak. Przedm.

119—5—4

CENY NIZKIE.



Warszawska Fabryka Gorsetów

Krakowskie Przedmieście Nr 23 (róg Trębackiej).

Poleca najświeższe fasony paryzkie i wiedeńskie.

Specyalne gorsety dla ułomnych. Szelki do prostego trzymania się. Leniuszki. Gorsety do wyrobienia kształtnej figury. Gorsety okolicznościowe dla mężatek.

Dla nauczycielek i uczennic 10 procent taniej.

FASONY PARYZKIE.

CENY NIZKIE.



Od lat kilku egzystująca

FABRYKA GORSETÓW pod firmą **„MARYA"**

Krak.-Przedmieście Nr 49 (wprost Bednarskiej),

zawiadamia sz. klijentellę, że z nowopowstałemi fabrykami nie ma nic wspólnego. Dla uniknięcia wszelkich podszywań się pod moją firmę, zmieniłam takową na

FABRYKA GORSETÓW MARYI GROCHOWSKIEJ.

Powiększywszy znacznie działalność i zniżywszy ceny o 15%, polecam wybór gorsetów fiżbinowych od rs. 1 kop. 50, ażurowych od rs. 3, higienicznych włosienicowych od rs. 4, dziecinnych od rs. 2, oraz szelki i gorsety do prostego trzymania się dla ułomnych. Obstalunki wykonywam w jak najkrótszym czasie. Próby wysyłam gratis i franco.

121—3—4

LABORATORYUM CHEMICZNO-TECHNICZNE

122—3—2 **„ORION"**

w Warszawie, Nowy-Świat Nr 37.

Poleca Toledin jedyny i niezawodny środek niszczący odciski, brodawki i inne stwardnienia skóry. Kalandir niezawodny środek na liszaje Nigrotine czyli glazura do czyszczonia obuwia, nie psująca skóry, nie ustępuje prawdziwej angielskiej glazurze. Laboratoryum zaopatrzone we wszystkie artykuły toalety damskiej, jako to perfumy, mydła, kosmetyki i t. p.

Ceny nizkie.

MARYA MATUSZEWSKA

Przełożona Pensyi wyższej żeńskiej

134—1—2 w Warszawie, przy ulicy Lesznο № 28.

Zawiadamia, że codziennie od godz. 10 do 6, na warunkach bardzo przystępnych, odbywa się zapis uczennic: przychodnich, pensyonarek i półpensyonarek. Lekcye rozpoczną się 21 Sierpnia (2 Września).

NA PIEGI

115 9—10 niezawodnie pomaga

ALBAROSA.

Główny skład w Aptece Dworu J. C. K. M.

F. Dziechcińskiego,

w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście Nr 59.

Także niezawodne proszki na wszelkie

BÓLE GŁOWY.

Podziękowanie. Czuje się w obowiązku podziękować W-mu Julianowi Deherowi. Optykowi przy ulicy Szpitalnej Nr 6, za dobrze dobrane mi okulary, odznaczające się istotnemi zaletami. To samo powiedzieć muszę o binoklach, które się okazały lekkiemi i wygodnemi w użyciu.

129—2—3 Redaktor „Zorzy"

M. Malinowski.

CZYTELNIA

dawniej 130—2—6

SULIMIERSKIEGO,

przeniesiona na ul. *Graniczną Nr 6* i zaopatrzoną we wszystkie nowości w językach: polskim, francuzkim, niemieckim i rossyjskim.

„NA RATY"

128—2—6

wszelkie towary łokciowe, wyprawy, okrycia damskie, wiadomość *Marszałkowska 114,* w składzie Bielizny pod firmą KONKURENCYA.

Józef Świątkowski

SZEWC.



BIELAŃSKA Nr 9

HOTEL PARYZKI 133—2—5

POLECA WYBÓR OBUWIA.

CENY UMIARKOWANE.

GABINET DENTYSTYCZNY

125—3—12 A. STOKOWSKIEGO.

w Warszawie, Krakowskie Przedmieście № 53.

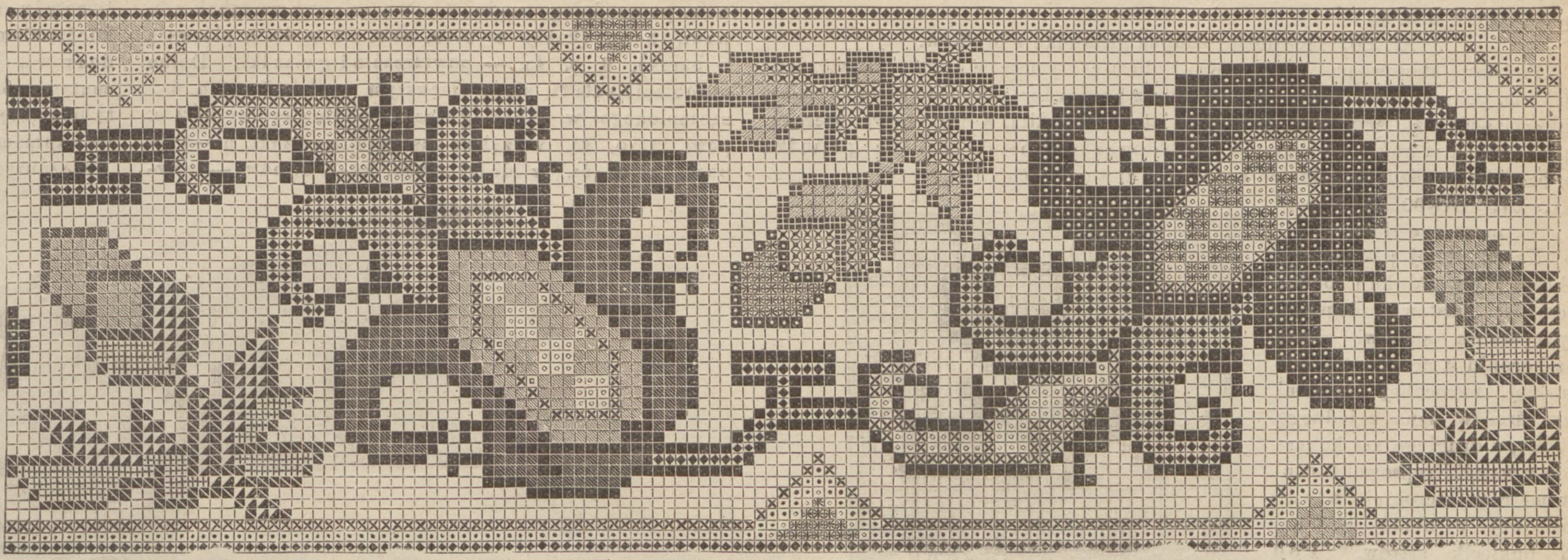
Дозволено Цензурою, Варшава, 26 Іюля 1890 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk Emila Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 26.

Dodatek.

Opis do N-ru 31.

(*Dokończenie.*)

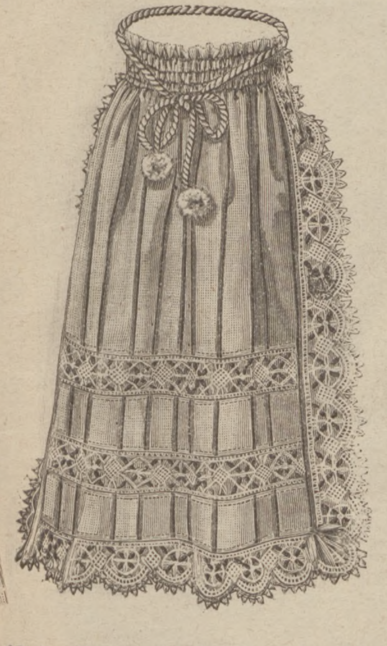
N. 21—22. Płaszczyk podróżny formą burnusa. Krój N. V. Odrobiony z popielatego materyału ma karczek okrągły na podszewce, przykrojony podług figury 23; górne brzegi płaszczyka zmarszczone odpowiednio przyszywają się z wierzchu karczka, podług linii cienkiej od *r* do *s*. Figura 25 daje wymiar połowy płaszczyka, zmarszczonej z tyłu podług linii prostej podwójnej. Od spodu pod zmarszczeniem przyszyta wstążka wiąże się w pasie.



Czarny, jasny, średni, c. brąz. jasny, średni, c. ziel. jasny, c. pons. jasny, średni, c. popiel. jasny, c. nieb. złoty.

N. 1. Szlak do portyer, serwet i t. p. Wyszycie na kanwie rozmaitemi ściegami. Patrz ryc. 21.

N. 3. Koronka szydełkowa do ryc. 2.



N. 6. Fartuszek z kolorową koronką.



N. 7. Serweta z kolorowem wyszyciem i kratką ażurową. Patrz ryc. 8 i fig. 31—35.



N. 5. Przykrycie na lampę. Wzór koronki patrz na arkuszu

N. 23—24. Termometr w pudełeczku.

Ryciny 23—24 przedstawiają bardzo praktyczne pudełeczko do termometru, zabezpieczającego od przewrócenia lub stłuczenia, złożone z dwóch deseczek odpowiedniej długości i szerokości, połączonych w jednym końcu zameczkiem, z których spodnia wyżłobiona jest podług miary termometru i z wygłębieniem na rurkę. Do zwierzchniej przytwierdzony jest termometr na ruchomej zawiasce, podług ryciny 23. Zwierzchnie przyozdobie nie stanowi płaskorzeźba, do której deseniki znajdą się w Tygodniku.

N. 25. Szlak do obrusa na ołtarz. Siatka gipiurowa. Deseń patrz N. 9 i figura 36.

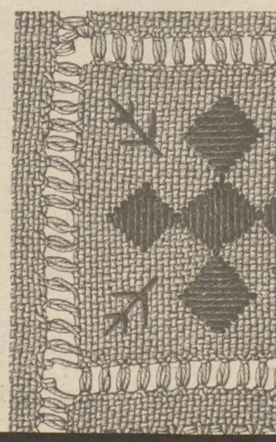
Monogram użyty w deseniu odpowiedni jest tylko do ołtarza Matki Bozkiej, w innym razie można wyszyć kielich, krzyż lub gwiazdę. N. 9 deseniu na arkuszu z krojami daje w naturalnej wielkości część wyszycia z dokładnem odznaczeniem rozmaitych odmian ściegów jak point de toile, point d'esprit i t. p. Siatka odrobiona była z białych nici Königszwirn) i złoto żółtego kordonku; brzegi obrobione dla równości i mocy szydełkiem, u góry prosto po 4 o. w każdą kratkę

u dołu w ząbki złożone z trzech rzędów, z których pierwszy jak w górze, drugi naprzemian 1 o. śc. i 6 o. pow., zaczepionych jednem oczkiem co piąte poprzedniego rzędu. W trzecim rzędzie w każdy ząbek robi się 3 o. śc., 3 o. pow. i znów 3 o. śc.

N. 26. Kapotka zdobna girlandką z bratków.

Podstawę stanowi pasek sztywnego tiulu 9 centymetrów szeroki, oszyty drucikiem, pokryty żółtą krepą i zakończony z brzegu torsadką słomkową; zamiast główki bufa z żółtego tiulu, przepięta aksamitką lila, 3 centymetry szeroką, przedłużoną w końce do wiązania. Efektowne przybranie stanowi girlandka z bratków w różnych kolorach i cieniach, złoto żółtych i lila.

N. 27. Kapotka z pasmanteryą złotą.



Prócz złotej pasmanteryi która zdobi główkę i rondko czarnej bastowej kapotki, przybranie stanowi riusza z koronki 4 centymetry szerokiej, zwróconej brzegami do środka dana z jednego boku, z drugiego zaś kokarda z wstążki repsowej 6 centymetrów szerokiej blado różowej i blado zielonej i bukiecik astrów. Pod rondkiem kokarda z 4 centymetrów szerokiej czarnej [redacted] zeszyte od R do S. Części [redacted] 14Ao—14B) są na ramionach przymarszcz[redacted] i pleców wzdłuż linii cienkiej od T do S przez X i [redacted] Y do dołu. Ażeby bufy odstawały na ramionach poddaje się podszewkę jedwabną, w kształcie epolet, w środku 15 centymetrów długą. Kołnierzyk stojący aksamitny figura 15 przyszywa się od Z do krzyżyka. Na wcięciu stanu dana elastyka pokryta marszczoną materyą, przyszytą od V do W. Przybranie stanowi pasmanterya z perełek 5 centymetrów szeroka i frendzla 6 centymetrów szeroka. Kokardy z wstążki repsowej 10 centymetrów szerokiej.

Opis do N-ru 32.

N. 1 i 21. Szlak do portyer, serwet i t. p. Wyszycie na kanwie rozmaitemi ściegami.

Stosownie do czego szlak ma służyć, odrabia się ozdobniej lub skromniej i wyszywa samą włóczką hamburgską, lub na cień najjaśniejszy dodaje filozelę, miesza nitkę złotą, bajorek lub nitki z połyskiem metalicznym. Tło stanowi gruba żółtawa kanwa kongresowa. Do wyszycia przeważnie użyty ścieg krzyżykowy, zajmowany na czterech nitkach w kwadrat jak to wskazuje rycina 21, ale efekt roboty bardzo podnosi zastosowanie różnych innych ściegów jak: płaski, gobelinowy, krzyżyki podłużne i t. p. Wytłomaczenie kolorów dane przy rycinie 1.

N. 2—4. Serwetka z wyszyciem i koronką szydełkową.

Tło środkowe liczy w kwadrat 21 centymetrów, stanowi go płótno kanwowe, ozdobione wyszyciem, którego część w naturalnej wielkości przedstawia rycina 4; do wyszycia ściegiem płaskim użyta filozela dzielona po dwie nitki, kwadraciki są oliwkowe, zielone i drzewne. Te same kolory powtarzają się w gwiazdkach i ramce brzeżnej; krateczki między kwadracikami dane nitką złotą. Po za wyszyciem wyciągnięte 12—14 nitek podwójnych tła, a pozostałe przewleczone są filozelą zieloną. Rycina 3 przedstawia w naturalnej wielkości próbkę koronki szydełkowej z żółtawej koronkowej bawełny. Każdą rozetkę zaczyna się od środka: 7 o. pow., 7 sł. przedzielane 2 o. pow. zajęte wszystkie w pierwsze o. pow., 2 o. pow. i 1 nizkie w czwarte z siedmiu o. pow. Jako drugi rząd zajmować za każde dwa o. pow. 1 o. śc., 2 o. pow., 3 sł., 2 o. pow. i 1 o. śc. poczem nitkę się obcina i starannie zakończa. Łączenie gwiazdek między sobą przedstawia rycina 3; skoro zrobi się odpowiednią liczbę gwiazdek i złączy w ramkę kwadratową zastosowaną do rozmiaru serwetki, dodaje się górne zakończenie. W pierwszym rzędzie robić * 1 o. śc. w ząbek gwiazdki; 7 o. pow., dwie grupy po trzy słupki, pierwsza ujęta w drugi ząbek, druga w ząbek następnej gwiazdki, u góry przerobione razem jednem oczkiem, jak to rycina 3 wskazuje 7 o. pow. — powtarzać od gwiazdki. Trzy grupy słupków wypadające w narożnikach trzeba zająć podług ryciny 2. 2 i 3

pow. 4 rząd: 1 o. śc. zajęte w czwarte o. z dziewięciu oczek poprzedniego rzędu, 1 o. pow., 1 o. śc. w szóste o. śc., 6—8 o. pow. 5 rząd: * 1 o. śc. za całe o. pow. poprzedniego rzędu, 6 o. śc. zajętych za ząbek z o. pow., 3 p. (każdy z 5 o. pow. i 1 o. śc. w pierwsze z oczek), 6 o. śc. — powtarzać od gwiazdki. Dolne obrobienie składa się w pierwszym rzędzie * z 1 o. śc. zaczepionego w ząbek gwiazdki podług ryciny 3, 2 o. pow., 1 o. śc. w ząbek następnej gwiazdki, 5—6 o. pow., 1 o. śc. w drugi ząbek, 5—6 o. pow. — powtarzać od gwiazdki. 2 rząd: 4 o. śc. zajęte za 2 o. pow. i przedzielone na środku pikotem; za drugi ząbek zająć 3 o. śc., 1 p. 6 o. śc. w następny ząbek 4 o. śc., 7 o. pow. zaczepionych z powrotem w trzecie o. z sześciu poprzednich i na tem ząbku obrobić trzy razy po 3 o. śc. i 1 p. i znów 3 o. śc. poczem kończy się zaczęty poprzednio ząbek, robiąc 2 o. śc., 1 p., 3 o. śc. i powtarzać od gwiazdki.

N. 5. Przykrycie na lampę.

Pośpieszne i łatwe do zrobienia przykrycie na lampę składa się z kawałka złoto żółtej wst[ą]psowej, 6 centymetrów szerokiej, 60 długiej, u g[ó]rszczonej do 24 centymetrów obwodu; dolny brzeg [...]za 8 centymetrów szeroka niciana koronka wy[...]a żółtym kordonkiem, do której brzega przywiązan[...]dla kordonkowa, licząca w każdym promieniu[...]ek po 28 centymetrów długich, złożonych i przew[...]ych przez tę pentelkę. Złożone półksiężyce i gwia[...]zyczepione naprzemian środkiem koronki i stano[...]zakończenie sznureczka.



N. 9. Suknia przybrana wstążką. Patrz fig. 40. N. 10 Suknia z [...]stanikiem zwiniętym z tyłu. Opis patrz ryc. 6 w N. 3[...] Krój N. I. N. 11. Kapelusz [okrą]gły zdobny riu[szą]. N. 12. Suknia pokryta tiulem koronkowym. N. 13—14. Suknia batystowa i kapelusz koronkowy. N. 15. Suknia z vêtement. Patrz opis przy ryc. 5 w N. 31. Krój N. IX. N. 16. Ubranie do żałoby. N. 17. Ubranie z bluzką dla młodej panienki. Opis przy ryc. 1 w N. 31.

N. 6. Fartuszek z kolorową [...]ką (patrz wzory koronki klockowej na a[rk]u.)

Uszyty z wełnianego muślinu bia[...]w ponsowe paski, liczy 68 centymetrów długości a [...]centymetry szerokości, licząc już w to wstawkę. [...]dstępie 38 i 43 centymetrów od górnego brzegu wszy[...] pasy wstawki 6 centymetrów szerokiej, przerabianej [...]nie jak koronka nitką ponsową, odpowiednią do po[...]ych pasków tła. Górny brzeg fartuszka przen[...]arszcz[...] kilkakrotnie do 18 centymetrów szerokości, a 5 wys[...]i z nagłówkiem;

dla mocy trzeba podszyć listewkę. Sznur[ek] zamiast szarfek.

N. 7—8. Serweta z kolorowem wyszyciem i kratką ażurową. Patrz figura 34—35.

Liczy w kwadrat 70 centymetrów i jest wyszyta na grubem płótnie (pytel); figura 34 daje środkowy deseń, którego kontury wyszyte ściegiem sznureczkowym ponsową bawełną, zaś rozmaite ściegi zapełniające deseń są wyszyte nićmi białemi. Po nad obrąbem 2 centymetry szerokim, dany pas kratki ażurowej $2^1/_2$ centymetra szeroki a o 1 centymetr wyżej zaczynają się narożniki z kwadracików, których wzór w naturalnej wielkości przedstawia rycina 8. Podział na kwadraty tworzy się przez wyciąganie nitek (4—5); pozostałe nitki wiąże się podług ryciny 8, na której dany wzór kwadrata wyszytego płaskim ściegiem. Koronka klockowa 7 centymetrów szeroka (patrz N. 1, 3 i 6 na arkuszu) otacza brzegi serwety.

N. 9. Suknia przybrana wstążką. Patrz figura 40.

Odrobiona z gładkiego herbaciano zielonego zephyru, ozdobionego szerokim szlakiem haftowanym biało. Spódnica 3 metry szeroka jest środkiem przodu zaplisowana w drobne fałdki, zwrócone do środka, z boku zostaje gładko, a z tyłu zmarszczona w dwie grupy przypina się za pomocą haftek do krótkiej baskiny stanika. Figura 40 przedstawia całość sukni z przodu; na niej widzimy że stanik ma przody kaftanikowe, dane ze szlaku haftowanego i podszyte gładkim zephyrem, widocznym w ranwersach odwiniętych w górze; kamizelka fałdowana, przewiązana szarfą, spuszczoną w długich końcach. Rycina 9 przedstawia oryginalne przybranie pleców bretelkami z wstążki repsowej 9 centymetrów szerokiej, w pasie upiętej w kokardę z krótkiemi puklami a końcami sięgającemi aż do dołu sukni. Rękawy przybrane wzdłuż haftem.

N. 11. Kapelusz okrągły zdobny riuszą.

Pleciony z fantazyjnej słomki ma nizką główkę, otoczoną rondkiem z przodu 18 centymetrów szerokiem, z tyłu zwężonem i zfałdowanem, podszytem żółtym fałdowanym tiulem. Przybranie stanowi bardzo suta riusza z niebieskiej crêpe lisse, dana wokoło główki.

N. 12. Suknia pokryta tiulem koronkowym.

Toaleta odpowiednia dla mężatki wykończona z jedwabnej mienionej materyi i czarnego koronkowego materyału, odznaczającego się oryginalnym w zupełnie nowym guście deseniem. Szlak dolny zakończa w zęby szachownica przez którą efektownie odbija materya mieniona w kolor złoto żółty i jasno zielony. Przód jest lekko zfałdowany w górze, tylne bryty zmarszczone, przypinają się na staniku. Wstążka czarna gazowa 8 centymetrów szeroka, przewiązana w pasie i spuszczona w długie końce aż do dołu sukni, przypięta kokardkami. Stanik jedwabny z krótkim bawetem z przodu, pokryty tiulem lekko namarszczonym środkiem pleców i przodów; podłużny wykrój szyi wszyty w kołnierzyk Medicis. Krótkie przody kaftanikowe á la Figaro harmonizują z upięciem



N. 18. Kapelusz dla dziewczynki.

bufiastem na jedwabnych rękawach i zakończone są wąziutką torsadką. Dużo małych kokardek dopełnia przybranie. Kapelusz z płaską główką przybrany wielką kokardą.

N. 13—14. Suknia batystowa i kapelusz koronkowy.

Bogato haftowany biały batyst (360 centymetrów szeroki) pokrywa spódnicę podszewkową z gładkiego batystu, podszytą listwą muślinową 45 centymetrów szeroką i zakończoną plisowaniem 22 centymetry szerokiem. Górny brzeg zwierzchniej spódnicy z przodu i z boków zmarszczony, z tyłu złożony w dwie poczwórne kontrafałdy, przypinane na staniku. Podszewka stanika zapinana z przodu na kryte haftki, ma plecy pokrytę batystem zmarszczonym w pasie; przody mają głęboki podłużny wykrój i lewą połowę lekko przymarszczoną a prawą zachodzącą skośnie na bok, o ile możności rozciągniętą gładko. Brzegi oszyte haftowaną falbanką, wykrój szyi zasłonięty gazą fałdowaną. Rękawy przymarszczone na ramionach, u dołu zakończone haftowanym mankietem, przybrane są wzdłuż zwierzchniej połowy, szlakiem haftowanym, w górze 16 u dołu 3 centymetry szerokim. Pasek i kokardy z wstążki morowej $5^1/_2$ centymetra szerokiej. — Lekki kapelusz ułożony jest z 8 centymetrów szerokiej koronki, na foremce z tiulu i druciku, po za którą z brzegów wysunięta koronka zmarszczona falująca wokoło głowy. Takaż koronka stanowi przybranie główki, z dodaniem rozetek z wązkiej różowej repsowej wstążeczki.

N. 16. Ubranie żałobne.

Odpowiednie dla starszej osoby, uszyte z matowego wełnianego materyału, ma wokoło szerokie obłożenie



N. 19. Sukieneczka wycięta dla małej dziewczynki. Krój N. VI.

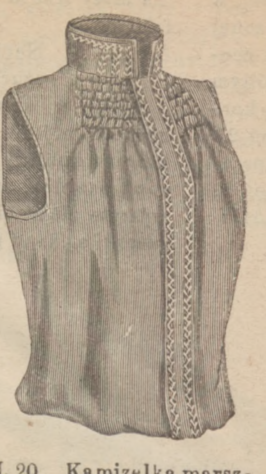
z krepy angielskiej; niektóre osoby dają krepę [tylko na przednim brycie. Kapelusz z długim woalem krepowym.

N. 18. Kapelusz dla dziewczynki.

Fasonik z piaskowej słomki odznacza się nową formą, gdyż ma zupełnie okrągłą nizką główkę, z tyłu głęboko wsuniętą w rondko, które z przodu liczy 12 centymetrów szerokości. 2 metry ponsowej repsowej wstążki 6 centymetrów szerokiej służy do przybrania kapelusza ułożonego podług ryciny 18.

N. 19. Sukieneczka wycięta dla małej dziewczynki. Krój N. VI.

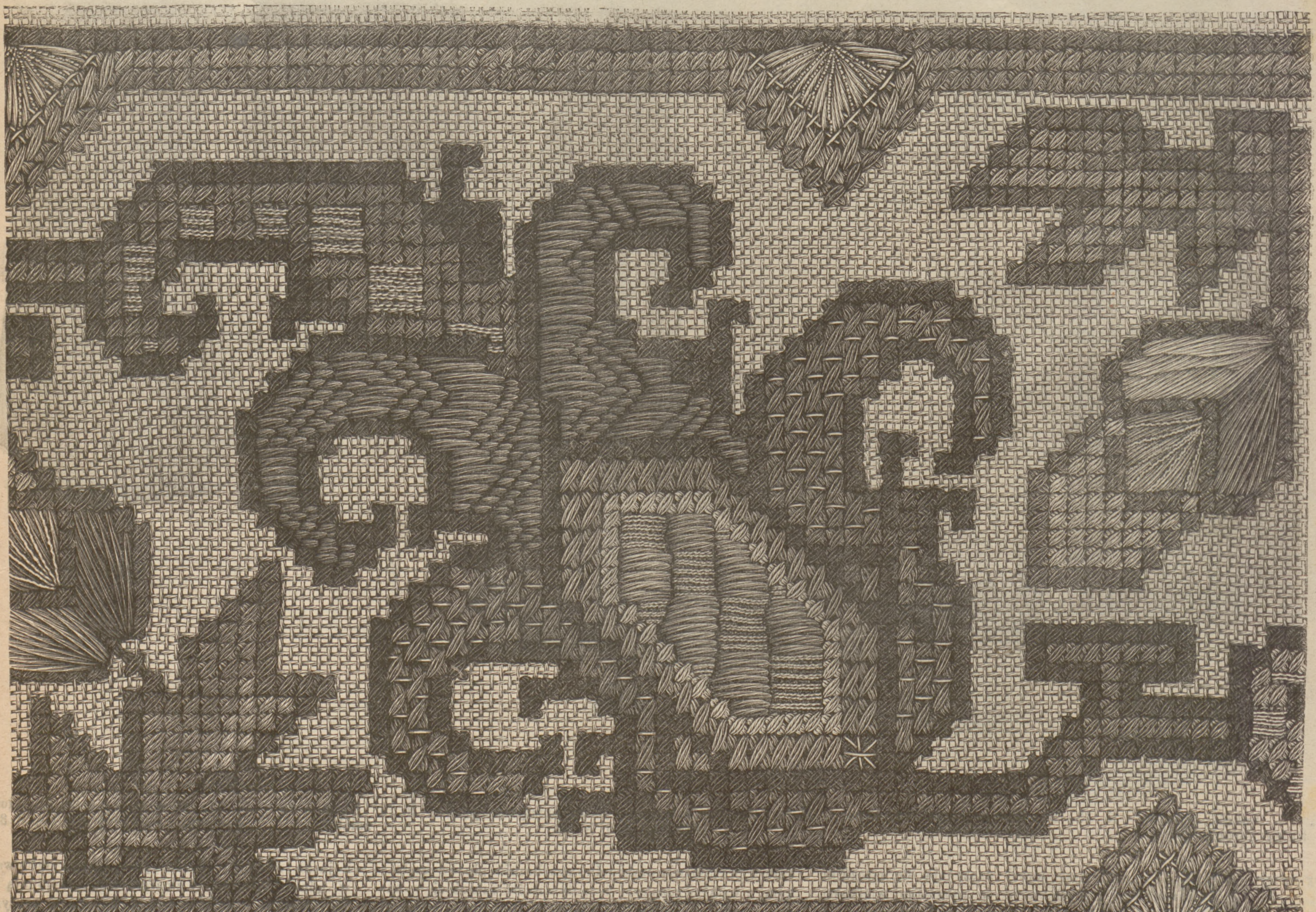
Figura 26 daje w naturalnej wielkości formę podszewki połowy stanika, z tyłu zapinanego na guziki, do linii cienkiej gładko pokrytego haftowanym materyałem, wyżej zaś dana bufa z gładkiego materyału, odznaczona na szwie wypustką. Spódniczka przyszyta do dołu staniczka 28 centymetrów długa, 160 centymetrów szeroka, ozdobiona u dołu trzema zakładkami po $1^1/_2$ centymetra szerokiemi, z pod których wysuwa się szlak haftowany 10 centymetrów szeroki. Figura 28a—28c dają deseniki rzuciku zdobiącego sukienkę. Figura 27 daje formę rękawka bufiasto pokrytego materyałem i ozdobionego kokardką. Lekko namarszczona falbaneczka haftowana zakończa wykrój górny; model sukienki był z żółtawego kaszmiru ozdobiony haftem jedwabiem.



N. 20. Kamizelka marszczona. Krój N. VIII.

N. 20. Kamizelka marszczona. Krój N. VIII.

Stanowi dopełnienie otwartego paletocika do kostyumu podróżnego i jest krajana z surowej materyi. Figura 30 daje wymiar kroju kamizelki, *a* oznacza połowę przodu, zapiętego na guziczki kryte zakładą 3 centymetry szeroką. Przemarszczenie oznaczone cienką linijką, zbiera przody do 14 centymetrów szerokości w każdej połowie. Plecy z podszewki tego co materya koloru, krajać podług *b*; w pasie trzeba podszyć listewkę do ściągania. Przody kamizelki opuszczające się bufiasto u dołu, wszyte w pasek 3 centymetry szeroki, 24 centymetry długi. Kołnierzyk stojący i zakłada wyszyte ściegiem cierniowym.



N. 21. Szlak do portyer, serwet i t. p. Wyszycie rozmaitemi ściegami na kanwie. Patrz ryc. 1.